NUMER 2. ROCZNIK I. LUTY 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dziecią̨tko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.

(Mat XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.

(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.

(Św. Franciszek Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.

(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.

(Ojciec Św Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32, **ITALIA**.

SPRAWOZDANIE
Najprzew. X. Michała RUA
za rok 1896.

Szanowni Salezyańscy Pomocnicy i Pomocnice,

Doszliśmy oto do końca roku 1896: znowu rok jeden pogrążył się w łonie wieczności.

Mając na uwadze smutne nad wyraz czasy, w jakich żyjemy, któż się zadziwi, jeżeli powiemy, iż wielu nieszczęśliwym naszym bliźnim, którzy nie żywią niestety przekonań chrześcijańskich, ze wszystkich 366 ubiegłych dni nie pozostało nic więcej prócz marnego wspomnienia, a może same gorzkie wyrzuty, ścigające ich za to, co zrobili i czego nadużywali?

Tego jednak, dzięki Najwyższemu Bogu, niemożnaby powiedzieć o żadnym z naszych przezacnych *Pomocników* i gorliwych *Pomocnic*.

Dla nich ani rok nie jest całkowicie stracony, ani też doznają w skrytości serca wyrzutów, ponieważ sumienie ich zapewnia, że ów co dopiero upłyniony rok życia spędzili jak byli powinni t. j. po chrześcijańsku. Gorące ich modły, uczynki miłosierne tak co do ciała jako i duszy, których był pełen rok 1896, zapisały się złotemi głoskami w księdze Sprawiedliwości Boskiej, która im za to gotuje nagrodę, *przewyższającą wszelki zmysł*(1).

Że zaś w tem, co tutaj utrzymuję, bynajmniej się nie mylę, wystarczy za wszelki dowód wskazać nie tylko na to dobre, które każdy z Was zdziałał w swojem kółku, jużto jako członek innego jakiego uczciwego stowarzyszenia, jużto w sposób ściśle prywatny, lecz przebiegnąć choćby tylko przelotnie wszystkie przedsięwzięcia i sprawy, które z pomocą Bożą i za Waszem poparciem mogło do skutku przyprowadzić *Zgromadzenie salezyańskie* w r. 1896.

Przeglądu tego dokonam wspólnie z Wami, tak ku ogólnemu naszemu zbudowaniu i zachęcie do dobrego, jak również w tym celu, aby Panu Bogu złożyć za wszystko należne dziękczynienie.

Ponieważ jednak w pracy nad zbawieniem dusz nigdy nie należy się zatrzymywać ani sobie powiedzieć: *dosyć*, zaczem, krom rocznego sprawozdania, jakie Wam poniżej przedłożę z tego wszystkiego, cośmy w ubiegłym roku do pożądanego celu przyprowadzili, zaznaczę nadto wedle dawnego zwyczaju kilka spraw, jakiemi w roku następnym najwłaściwiejby się zająć wypadało.

Rzut oka na to, cośmy w r. 1896 zdziałali w Europie.

Smutne dla Zgromadzenia naszego wypadki zeszłego roku, lubo od czasu do czasu przeplatane kilkoma pocieszającemi zdarzeniami, następnie dotkliwy ubytek sił, spowodowany śmiercią kilku znakomitych naszych współbraci, wreszcie długi, jakimi obciążone były niektóre z naszych domów, a w ogólności ciężkie czasy, jakie przechodzimy, napełniały nas nieraz obawą o przyszłość niektórych zakładów i przedsięwzięć, które co dopiero byliśmy rozpoczęli; Opatrzność Boska jednakże raz jeszcze stwierdziła, że dzieła nasze są Jej dziełami. Nasze zakłady i stacye misyjne nietylko trzymają się dzielnie, lecz przynoszą wciąż pocieszające owoce swych trudów i pracy około zbawienia dusz. O żywotności Zgromadzenia salezyańskiego, jak również ruchliwości oraz wielkodusznej ofiarności naszych *Pomocników*, świadczą nietylko nowe zakłady i stacye misyjne co dopiero założone: dowodem więcej jeszcze przekonywającym jest wzmagający się ciągle rozwój domów i misyi dawniej już istniejących.

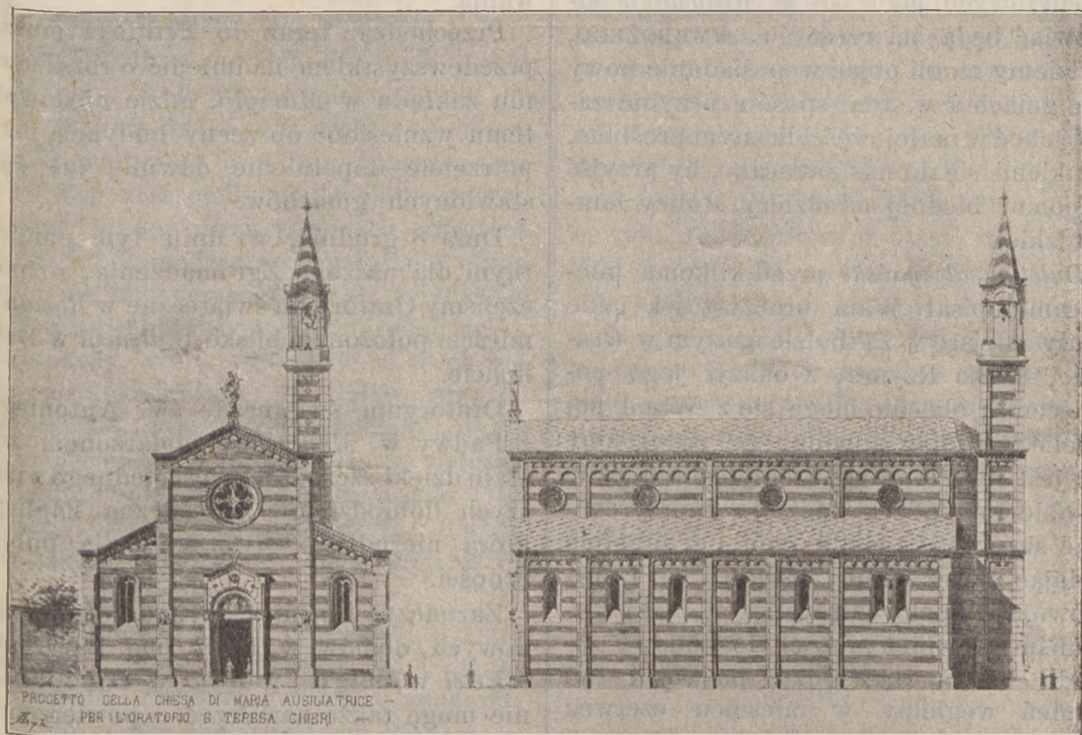
Jeśli zaś śmierć w szeregach misyonarzy salezyańskich, zwłaszcza na stacyach misyjnych w **Brazylii i Uruguay**, szerokie poczyniła szczerby, to jednakże zdołaliśmy powstałe stąd luki zapełnić wnet, a to śląc na ich miejsce innych gorliwych misyonarzy. Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa krew męczenników była nasieniem chrześcijan, tak w naszem Zgromadzeniu (powiedzieć to możemy) strata kilku misyonarzy wzbudza za każdym razem liczne powołania. To również nie małą dla nas stanowi pociechę.

Pomimo kłopotów pieniężnych, z jakimi zakłady nasze miały do walczenia, liczba chłopców naszej powierzonych pieczy nie tylko się nie zmniejszyła, lecz wzrosła o kilka tysięcy, a wszystkim Ojciec nasz niebieski za pośrednictwem dobroczynnych naszych *Pomocników* dostarcza codziennie chleba, książek i potrzebnych narzędzi dla ich wykształcenia umysłowego i rękodzielniczego.

Już to wogóle wielką stanowi dla mnie otuchę i do podjęcia nowych dzieł tem mocniej mnie zachęca widok, jakim duchem ożywieni jesteście, szlachetni nasi *Pomocnicy.* Żywo odbiła się w mojem sercu i głęboko zapisała w pamięci gorliwość,

(1) *Philipp. VI*, 7.

jaką miałem sposobność podziwiać w dyrektorach naszych kółek dyecezalnych, zebranych w miesiącu wrześniu minionego roku przy grobie ks. Bosko we *Valsalice*. Zebranie to było wspaniałem echem kongresu salezyańskiego, odbytego w r. 1895 w *Bolonii*, i samo przez się wystarczyłoby dla upewnienia nas, że ziarno rzucone na owych pamiętnych posiedzeniu jeszcze innych. To też z radością mogę Was uwiadomić, że zeszłego października i listopada objęliśmy kierownictwo kolegiów w *Modena* i *Ferrara* i że założyliśmy dwa nowe: w *Legnago* i *Frascati*. Ażeby zaś okazać mą wdzięczność miastu *Bolonii* w zamian za serdeczną gościnność, jakiej przed dwoma laty byliśmy doznali z okazyi odbytego tamże salezyańskiego



Kościół Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych w CHIERI.

niach przyniosło obfite owoce. A lubo opłakiwać nam przychodzi szeroki wyłom, jaki nieubłagana śmierć w szeregach naszych *Pomocników* w dopiero co ubiegłym roku dokonała, to z drugiej strony z wielką moją radością mógłem stwierdzić, że ich miejsce zajęli niebawem inni, którzy i co do gorliwości w rzeczach Bożych i co do hojności, z jaką zakłady nasze wspierają, mogą z tymi, których co dopiero byliśmy utracili, godnie współzawodniczyć.

Ofiarność wszakże Wasza nie poprzestała na samemże wspieraniu zakładów już istniejących i rozszerzaniu takowych, lecz przyszła nam z pomocą w otwieraniu jeszcze

kongresu, nie mógłem już dłużej zwlekać z otwarciem przynajmniej *kaplicy świątecznej*, tusząc sobie, że Opatrzność Boska dostarczy nam niezadługo środków do rozpoczęcia czegoś większego i ważniejszego.

Są to wprawdzie tylko nikłe początki, lecz właśnie dla tego, że są takimi, mamy niepłonną nadzieję, że Pan Bóg pobłogosławi nasze dobre zamiary, jak nie mniej szlachetne wysiłki naszych *Pomocników* bolońskich.

Wskutek natarczywych i ciągłych nalegań objęli w tym samym czasie synowie księdza Bosko kierownictwo zakładów

w *Cuorgnè* w **Piemoncie** i *Intra* nad *Lago maggiore* i rozpoczęli w dni świąteczne zbierać chłopców w *Desenzano* koło *Werony.*

Dzięki przedziwnej ruchliwości komitetu i podkomitetu medyolańskiego prowadziliśmy dalej budowę nowego Oratoryum św. Ambrożego. Mamy nadzieję, że na przyszłą wiosnę z okazyi uroczystości jubileuszowych, jakie się w *Medyolanie* odprawiać będą na cześć św. AMBROŻEGO, będziemy mogli objąć w posiadanie nowy ten gmach i w ten sposób uczynić zadość choć w małej części licznym prośbom, z jakiemi się do nas zwracano, by przyjść w pomoc biednej młodzieży stolicy lombardzkiej.

Buletyn salezyański przed kilkoma miesiącami opisał Wam uroczystości, jakie miały miejsce w zakładzie naszym w *Genzano*, blisko Rzymu, z okazyi jego poświęcenia; obecnie mogę się z Wami podzielić radosną nowiną, że zapełniony już jest sporem gronem chłopców, piękne o sobie rokujących nadzieje, którzy ćwicząc się w nabywaniu cnót i z zapałem oddając się naukom, kształcą się i wychowują w duchu salezyańskim. Nie przerwaliśmy również prac około budowy zakładu w *Caserta*, gdzie poświęcił był kamień węgielny w miesiącu czerwcu zeszłego roku X. biskup tegoż miasta.

Przedmiotem żywej radości i niewymownej pociechy dla mnie i dla całego Zgromadzenia salezyańskiego było także widzieć, z jak wielką skwapliwością ukończono budowę świątyni Maryi Wspomożenia Wiernych w *Chieri.* Już więcej niż 10 lat utyskiwano w tem mieście nad brakiem odpowiedniej kaplicy, mogącej w sobie pomieścić nader liczne grono dziewcząt uczęszczających do tamtejszego *Oratoryum*; nareszcie zwalczywszy niezliczone trudności, dnia 14 marca zeszłego roku, arcybiskup turyński, X. Dawid hr. RICCARDI, poświęcił kamień węgielny nowego kościoła, 8^{go} zaś listopada mógłem w prawie już całkiem wykończonym kościele pierwsze odprawić nabożeństwo. Dobrodzieje nasi tamtejsi, którzy tak szczodrymi się okazali przy rozpoczęciu i przeprowadzeniu wstępnych prac około budowy kościoła, nie dozwolą, jak się tego po nich z pewnością mogę spodziewać, iżbyśmy sami dźwigali ciężar zaciągniętych długów. Jak na teraz niech przyjmą za wszystko dobre, które nam wyświadczyli, wyraz serdecznego mego podziękowania.

Przechodząc teraz do **Francyi** muszę przedewszystkiem nadmienić o rozszerzeniu zakładu w *Marsylii*, gdzie niedawno temu wzniesiono obszerny budynek, jako potrzebne dopełnienie dawniej już wystawionych gmachów.

Dnia 8 grudnia, w dniu tyle pamiętnym dla naszego Zgromadzenia, rozpoczęliśmy Oratoryum świąteczne w *Romans*, mieście położonem blisko *Walencyi* w Delfinacie.

Oratoryum świąteczne św. Antoniego z Padwy w *Montpellier* obdarzonem zostało dzięki szczodrobliwości jednego z naszych dobrodziejów prześliczną kaplicą, którą niezadługo otworzymy dla publiczności.

Zaznaczyć również wypada założenie nowych domów w *Rueil* pod Paryżem, w*Ectel* w **Belgii** i w *Bejar* w **Hiszpanii**; nie mogę także zamilczeć o powierzeniu naszej pieczy schroniska dla chłopców w *Lizbonie*, stolicy **Portugalii**, które to powierzenie po licznych i długoletnich naleganiach ze strony tamtejszych naszych *Pomocników*, dopiero teraz mogło przyjść do skutku.

Zakłady Sióstr Maryi Wspomożycielki w r. 1896.

Odkąd litościwe serce ks. BOSKO, tak żywo zawsze odczuwające każdą niedolę, wzruszyło się na widok tylu niebezpieczeństw, na jakie ciągle są wystawione niedoświadczone dziewczęta; odkąd świątobliwy mąż usłuchał ostatecznie wewnętrznego głosu, pobudzającego go wciąż

do założenia dla ich dobra osobnego Zgromadzenia, ażeby przez nie dla dziewcząt czynić to samo co Salezyanie pełnią dla chłopców, — od tego czasu dwa te odłamy Zgromadzenia salezyańskiego zespoliły się ze sobą silnie na polu czynnej miłości chrześcijańskiej.

Oto powód, dla czego w sprawozdaniu rocznem z działania Salezyanów czynimy również wzmiankę o działalności *Sióstr P. Maryi Wspomożenia Wiernych.*

W **Europie** założono dla nich w roku ubiegłym około 20 nowych zakładów. Po większej części są to *kaplice świąteczne*, gdzie widocznie Pan Bóg Siostrom Maryi Wspomożycielki nader obfite przygotował żniwo. Przy kaplicach świątecznych, jako nieodzowne dopełnienie, otwierają one zazwyczaj pracownie, czyli raczej *szkołę* robót kobiecych; jestto środek bardzo skuteczny, ażeby wkorzenić w serca głęboko naukę religii, by dziewczęta tem więcej przywiązać do Oratoryum i do ich nauczycielek, podczas gdy te ostatnie przygotowują je do tego stanu, jaki Opatrzność Boska im przeznaczyła. Takimi są zakłady otwarte w *Aleksandryi*, w *Intra* i gdzieindziej.

Nauczycielki nasze powołano także do objęcia szkółek i schronisk w *Arignano*, *Crusinallo*, *Faliceto*, *Ferrano* i *Samacata.*

Inne znowu Siostry Maryi Wspomożycielki uważały to sobie za wielkie szczęście, że pozwolono im pielęgnować chorych w szpitalu w *Buttigliera d'Asti* i w *Foceno* pod *Nowarą.*

Nie zatrzymując się dłużej nad różnymi innymi zakładami, jakie Siostry nasze otworzyły czyto we Włoszech, czy we Francyi, czy też w Hiszpanii, zaznaczę tylko, że i na misyach rozszerzyły bardzo swoje zakłady i że z pomocą Boską dopomagają dzielnie misyonarzom salezyańskim w **Patagonii**, w *Matto Grosso* i na *Ziemi Ognistej*, licząc w to także zakłady w *Ouro Preto* i *Ponte Nova* w **Brazylii**, dokąd się udawały były owe siostry, które, jakto w żywej pamięci Pomocników naszych jeszcze pozostało, padły ofiarą katastrofy kolejowej w listopadzie 1895 r.

Rozwój misyi salezyańskich.

Ojciec św. LEON XIII w encyklice *Praeclara*, w której nadzwyczaj gorąco poleca wiernym wspieranie misyi zagranicznych, powiada na końcu, że *najgorętszem jego życzeniem jest, aby Przenajświętsze Imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa co rychlej było poznanem i panowało we wszystkich częściach świata.* Również najukochańszemu naszemu ojcu, księdzu BOSKO, od samego początku kapłańskiego zawodu trawionemu żarliwością o dobro duszne tylu nieszczęśliwych istot, wydarł się okrzyk: *da mihi animas* (daj mi dusze); i to właśnie gorące pragnienie zbawienia dusz sprawiło, że stary świat (*Europę*) począł uważać już za zbyt ciasny dla siebie, zaczem poszło, iż synów swoich wysłał na misye do odległej **Ameryki.**

Zachęcony słowami Ojca św., a wzór sobie stale biorąc z księdza Bosko, przyznać mogę, że i mnie również zawsze leży na sercu dalszy rozwój naszych misyi. Dlatego nie poprzestając na zwykłej corocznej wysyłce misyonarzy, pospieszyłem, skoro tylko jałmużny Wasze ku temu potrzebnych mi dostarczyły środków, z pomocą szczególnie misyom księdza FAGNANO, który często znajduje się w bardzo trudnem położeniu, gdyż musi dostarczać zdziczałym plemionom na wyspie *Dawson* i na stacyi misyjnej *Candelara* nad *Rio Grande*, chat, pożywienia i ubioru.

X. biskup COSTAMAGNA opowiedział nam niedawno w *Bollettino Salesiano* w zajmujących swych listach, w jaki sposób przyszło do otwarcia domów salezyańskich w *La Paz* i w *Sucre* w **Boliwii.** Późniejsze jego korespondencye zapewniają nas, że w *kaplicach świątecznych* obydwóch tych miast dzieją się rzeczy zdumiewające: i tak liczba chłopców uczęszczających do nich, dochodzi do 1400.

X. biskup Cagliero w swym wikaryacie apostolskim rozszerza w pocieszający sposób coraz bardziej i coraz dalej zakres swojej pasterskiej działalności wśród dzikich plemion **Patagonii.** Na gorące i kilkakroć ponawiane nalegania X. Arcybiskupa z *Buenos Ayres* zajął się misyami w **środkowej Pampa** i wysłał tam trzech kapłanów Salezyanów, którzy założywszy główną siedzibę w miasteczku *General Acha* (głównej miejscowości tejże Pampa) głoszą błogą nowinę i roznoszą skarby naszej św. Wiary licznym szczepom tubylców, prowadzących na tych obszarach życie koczujące.

Nie zważając na znaczne ofiary materyalne wypełniliśmy przynajmniej w części gorące pragnienia nieodżałowanego śp. X. biskupa Lasagna, apostoła dzikich Indyan, wysyłając garstkę Salezyanów do *Assuncion*, stolicy rzeczypospolitej **Paraguay.**

X. Arcybiskup z *Bogotà* w **Kolumbii** w czasie chwilowego pobytu w *Turynie* prosił nas gorąco, by wysłać znów jakiego kapłana do *Agua de Dios* dla opieki nad nieszczęśliwymi trędowatymi, innych zaś misyonarzy dla głoszenia Ewangelii św. dzikim szczepom Indyan, rozproszonych po obszernych, lasami porosłych równinach *(llanos) San Martin*, gdzie w samym początku roku 1896 osiedlili się już byli nasi misyonarze, X. Ferraris i X. Briata.

Wszyscy ci nowowysłani pracownicy ewangeliczni zapewne obecnie już stanęli na wyznaczonem sobie polu działania. Niech Pan Bóg błogosławi ich wysiłki i obfitym plonem obdarzy trudy apostolskie, jakie ich tam czekają.

Inna garstka synów księdza Bosko udała się na misye do **Przylądka Dobrej Nadziei**; inni znowu gotują się do odjazdu do **Kalifornii**, dokąd ich był niedawno zawezwał X. biskup z *San Francisco*, by zaopiekowali się wychodźcami włoskimi, nader licznymi w tamtejszych stronach.

Ponieważ zaś nam, jako prawdziwym członkom jednej rodziny, wspólne są wesela i smutki, zatem wskazawszy na rozwój, jaki wzięły nasze misye w **Ameryce**, niech mi będzie wolno na tem miejscu wspomnieć, jakim smutkiem napełniło się moje serce na wieść o śmierci księdza Agosta, męczennika posłuszeństwa, który przeprawiając się przez rzekę *Neuquen* w **Patagonii**, znalazł śmierć w jej nurtach.

Gorące łzy wycisła mi również z oczu wiadomość o cierpieniach, jakie znosić musieli, i niebezpieczeństwach, na jakie tak długo byli wystawieni misyonarze nasi w Rzeczypospolitej **Ekwatoru** (w *południowej Ameryce*) w czasie niedawnych zamieszek rewolucyjnych. Jeden z nich, X. Jan Milano, uległ trudom i wyzionął ducha w szpitalu w *Guayaquil.*

W styczniu ubiegłego roku zwierzyłem się Wam był z gorącem mem pragnieniem otwarcia zakładu dla dziatwy i młodzieży w *Nazaret*, miasteczku, gdzie Boski nasz Zbawiciel przepędził długie lata pracując jako ubogi cieśla. Przyjemną więc będzie Wam wiadomość, że zamiar mój zaczyna przechodzić w czyn, gdyż zebraliśmy już trzydziestkę chłopców arabskich w domu na ten cel wynajętym. W najbliższym czasie, jeżeli ofiarność naszych *Pomocników* nam na to pozwoli, przygotujemy im mieszkanie odpowiedniejsze na gruncie, któryśmy niedawno w tym celu zakupili.

W czasie mego krótkiego pobytu w *Aleksandryi* w **Egipcie**, kiedym się dwa lata temu udawał do **Palestyny**, wyraził mi samże delegat, X. biskup Corbelli, jak również inne znaczne osobistości tego miasta, życzenie, ażeby synowie księdza Bosko otwarli tam zakład naukowy i rzemieślniczy. Potrzeba podobnego zakładu w tem kosmopolitycznem mieście jest tak nagląca, że dalsza zwłoka zdawała mi się niepodobną; zakupiliśmy więc już spory kawał ziemi, a zawezwany budowniczy już zrobił plan domu i wkrótce rozpoczniemy jego budowę. Dyrektor znajduje się już na miejscu, by czuwać nad wykonaniem roboty i zająć się bezwłocznie dziećmi naszych ziomków. Nie sądźcie, drodzy *Pomocnicy*, jakoby nie-

roztropna gorliwość popchnęła nas do tylu przedsięwzięć i że otwierając dwa te ostatnie zakłady, postąpiliśmy sobie bez należytego zastanowienia. Mnie się owszem zdaje, że postępując w ten sposób, Salezyanie działają w myśl Ojca św. Leona XIII, który już od trzech lat pracuje z wytężeniem wszystkich sił nad połączeniem kościołów wschodnich.

przedłożyłem za ubiegły rok 1896, powinnoby właściwie wystarczyć i bez dalszych moich wywodów wskazać Wam, ku czemu przedewszystkiem winniśmy zwrócić nasze myśli i wysiłki w ciągu bieżącego roku, a jednak zmuszony jestem na tem miejscu zaznaczyć gwałtowną potrzebę wybudowania nowego kościoła we *Florencyi* przy ulicy Aretina.



Nowy kościół salezyański we FLORENCYI.

Suma potrzebna na rozpoczęcie budowy będzie co najmniej wynosiła 150,000 franków, a oczekujemy jej jedynie od Boskiej Opatrzności za pośrednictwem naszych szanownych *Pomocników* i *Pomocnic.*

W październiku zeszłego roku powierzono nam w mieście *Tunis*, w północnej **Afryce**, parafię, w ślad zaczem nastąpiło otwarcie *kaplicy świątecznej* dla dzieci mieszanej narodowości, przeważnie jednakże dla Włochów, gdyż miasto to licznie jest przez nich zamieszkane.

Sprawy, jakiemiby się zająć wypadało w bieżącym roku.

Sprawozdanie, jakie Wam, Szanowni nasi *Pomocnicy* i *Pomocnice*, co dopiero

Na gorące prośby Jego Eminencyi księdza kardynała Bausa, arcybiskupa florenckiego, wzięliśmy się raźno do dzieła i rozpoczęliśmy już kopać fundamenta na gruncie, należącym do naszego kolegium florenckiego tuż przy wzmiankowanej ulicy.

Zakłady nasze w *Aleksandryi* w **Egipcie** i w *Nazaret* mają z różnych powodów tak wielką doniosłość dla naszego Zgromadzenia, że same jedne zasługują sobie ze wszech miar na najgorętsze nasze poparcie.

Ażeby módz prowadzić życie czynne i działać dla dobra dusz, wyciągają do Was ręce, prosząc o pomoc, różne inne

zakłady salezyańskie, które nie mają innej podpory jak tylko ofiarność dusz litościwych. Z mojej strony polecam Wam je wszystkie najmocniej.

Z tem wszystkiem chociaż dla tylu już zakładów i przedsięwzięć naszych, jużto od dawna istniejących, jużto nowozałożonych lub dopiero założyć się mających, prosiłem usilnie o Waszą ofiarność, to jednak niech mi wolno będzie zwrócić Waszą uwagę jeszcze na jedną sprawę, która gdy pojęta będzie przez wszystkich należycie i poparta jak na to zasługuje, niewątpliwie obfite dla Kościoła przyniesie owoce. Mam na myśli **Arcybractwo Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki** (po włosku: *Opera dei Figli di Maria Ausiliatrice*) celem wzbudzenia powołań do stanu duchownego.

Kto ma choć odrobinę wiary w sercu, niepodobna, żeby nie odczuł żywej boleści na myśl, że więcej niż dwie trzecie rodzaju ludzkiego jęczy jeszcze w ciemnościach niewiary i błędzie, nie wiedząc nic zgoła o Chrystusie Panu, ani o tem co uczynił dla zbawienia dusz. Jakżeż dalej powstrzymać się od łez, jeżeli się zważy, jak wielka liczba dusz idzie na wieczną zgubę nawet w tych krajach, gdzie wiara św. już jest rozkrzewiona? Ta właśnie myśl wyrywa nam ustawicznie z głębi serca jęk: *messis quidem multa, operarii autem pauci* (żniwo jest wielkie, ale robotników mało) i to nam każe gorąco pragnąć, by liczba zacnych i gorliwych kapłanów wzrastała w miarę zwiększenia się potrzeb duchowych. Gdyby zaś (o czem wątpię) pragnienie to w sercach naszych miało się umniejszyć, przypomniałby je na nowo ów znany okrzyk św. FRANCISZKA KSAWEREGO, który od pewnego czasu bezustannie powtarza nam bądź listownie bądź osobiście tylu biskupów, tylu przedstawicieli rozmaitych miast i nasi właśni misyonarze: **Ślijcie nam w pomoc pracowników ewangelicznych.**

Drogi nasz ojciec, X. BOSKO, którego żarliwości nie uchodziło nic, co tylko w jakimś związku stało z pomnażaniem chwały Bożej, lub co mogło się przyczynić do zbawienia dusz, przekonanym będąc na równi ze św. WINCENTYM a Paulo, że nie można uczynić nic lepszego ani piękniejszego, jak ułatwić komuś dostąpienie stanu kapłańskiego, odkąd sam został kapłanem, starał się naprowadzić na drogę wiodącą do ołtarza jak największe zastępy młodzieży; w późniejszych latach zaś powziął myśl, która (jak się wyrażał kardynał ALIMONDA) *fu tutta sua* (mogła wyjść tylko od księdza Bosko). Znalazł bowiem sposób, by ułatwić wstąpienie do stanu duchownego (tak świeckiego jak zakonnego) takim młodzieńcom, którzy lubo już w dojrzalszym wieku będąc, zawsze jednakże zachowali w sercu nasienie powołania danego im z nieba, lecz czyto z powodu obowiązku służby wojskowej, czy też dla przeszkód ze strony rodziny, lub dla braku środków materyalnych, nie mogli pójść za jego głosem. To jest właśnie zadaniem **Arcybractwa Najśw. Maryi Panny** (*Opera dei Figli di Maria SS. Ausiliatrice*), założonego przez księdza BOSKO po roku 1870, a przez PIUSA IX dnia 19 maja r. 1876 zatwierdzonego i ubogaconego licznymi odpustami.

Nadzieje, jakie X. Bosko pokładał w tych swoich *figli di Maria* (synach Maryi Panny Wspomożycielki) bynajmniej go nie zawiodły; opierały się bowiem na przykładach Świętych Pańskich. I w samej rzeczy, czyż nie byli wychowankami podobnych zakładów taki św. IGNACY Lojola, św. KAMIL de Lellis i wielu innych, którzy *późno wprawdzie rozpoczęli nauki*, lecz za to *tem wcześniej zaczęli działać*?

Założyciel nasz miał to szczęście oglądać jeszcze przed swoim zgonem owoce założonych przez siebie szkół dla *synów Maryi*, nam wszystkim zaś świecił nie tak dawno temu przykładem pełen poświęcenia apostoł trędowatych z *Agua de Dios*, X. Michał UNIA, uczeń właśnie jednego z takich zakładów.

Miłosierny Bóg, w mocy którego są czasy i chwile, widocznie postanowił, by w chwili obecnej to dzieło się rozwinęło; dla niego to zachowuje szczególniejsze dary Swych łask, Najświętsza Marya Panna zaś z pewnością wyświadcza niezliczone dobrodziejstwa tym, którzy dzieło to popierają. Jakże wielkim smutkiem napełnia się serce nasze, gdy dla braku środków nie możemy zadosyć uczynić wszystkim prośbom, z jakiemi się do nas zewsząd, a szczególnie z *Polski*, zwracają o przyjęcie na *synów Maryi Wspomożycielki*!

Na podobne prośby dawać odmowne odpowiedzi nie bylibyśmy zmuszeni, wszystkie zaś zakłady nasze, dla *synów Maryi Wspomożycielki* przeznaczone, z pewnością byłyby przepełnione, gdyby jak najwięcej dobrodziejów zapragnęło się zapisać do **Arcybractwa Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych** i w miarę środków swoich przyczyniać się do spełnienia jego zadania stósownie do przepisów, jakie był jeszcze za życia swego ułożył samże X. Bosko *).

„**Wiadomości salezyańskie**” w jednym z najbliższych numerów powrócą do przedmiotu, który tu omawiam, i podadzą sposób, w jaki można przyjść z pomocą tej młodzieży, w której tak słusznie pokłada nadzieję nie tylko Kościół, lecz sameż świeckie społeczeństwo, zaczem jak na teraz poprzestaję na tym krótkim rysie dzieła tyle umiłowanego przez naszego Ojca, księdza Bosko. Tuszę sobie, że tych kilka słów nie padnie na ziemię niewdzięczną i że ofiarność Wasza i Wasze poparcie nas nie ominie. Ażeby tych *synów Panny Maryi Wspomożycielki* wykształcić, nie szczędzimy Salezyanie ni czasu ni trudu: zatem i Wy, Szanowni nasi *Pomocnicy*, nie szczędźcie również ofiar Waszych.

Nie mogę zakończyć tego sprawozdania nie zwróciwszy się przedtem w gorącej modlitwie do Najsłodszego Serca Jezusowego, by z dniem każdym ścieśniać raczyło węzły łączące synów księdza Bosko z ich *Pomocnikami*, by w jednych i drugich na zawsze utrzymać raczyło zgodność myśli i serca, dzięki której przepędzamy zawsze tyle szczęśliwych i miłych chwil, ile razy nam się zdarzy sposobność zetknięcia się społem.

A teraz powtarzam jeszcze raz to, o czem już w tylu listach Was zapewniałem, że w spólnych modlitwach naszych zanosimy codziennie gorące prośby do Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych, by Was zachowała zawsze w swej Opiece, by Wam wyjednała liczne łaski duchowe, by Was i Wasze rodziny chroniła od wszelkich nieszczęść i zgotowała Wam w niebie godną nagrodę za wszystkie dobrodziejstwa, które świadczyliście i świadczycie naszym misyom i zakładom naszym.

Z wyrazem głębokiego uszanowania i żywej wdzięczności pozostaję

Szanowni nasi *Pomocnicy* i *Pomocnice*

Waszym sługą w Chrystusie Panu

X. MICHAŁ RUA

Turyn, dnia 1 stycznia 1897.

*) Bliższe szczegóły tyczące się *Arcybractwa*, o którem mowa, zawiera dziełko «*Arcybractwo Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych*». Turyn, drukarnia salezyańska.



*



NABOŻEŃSTWO

DO

Najświętszej Maryi Panny

pod wezwaniem

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

(Ciąg dalszy).

3. — GESTA DEI PER POLONOS.

Odsiecz WIEDNIA.

(12 września 1683).

Od klęski poniesionej na wodach Lepanto nie przestali wprawdzie Turcy być groźnymi Europie południowej i ponawiali od czasu do czasu nagłe i rozbójnicze najazdy na różne wyspy i kraje, oblewane falami morza Śródziemnego, z Weneсyanami zaś prowadzili długie i krwawe walki o posiadanie wyspy Kandyi, którą im też wreszcie r. 1669 odebrali, — celu jednakże ostatecznego wszelkich swoich wypraw, tj. *zgładzenie chrześcijaństwa*, spodziewali się dopiąć na drodze *lądowej*, posuwając zabór stopniowo, ale wytrwale, w głąb środkowej Europy. Jakoż w drugiej połowie XVII wieku już **Węgry**, niemal całe podbite, uznawały za pana carogrodzkiego padyszaha; **Multany**, kawał **Podola** i znaczna część **Ukrainy** tworzyły *ejalety* tureckie: tatarskie zagony w prawie corocznych na **Polskę** wyprawach zapędzały się nieraz aż w Lubelskie, a sułtan **Mahomet IV**, kiedy r. 1673 siadał na koń wyruszając na Polskę, wykrzykiwał: *do Gdańska! do Gdańska!* — był tak pewnym zwycięstwa, że zakładał sobie nie prędzej zatrzymać swoje hordy, aż staną nad brzegami morza bałtyckiego.

Jeżeli Polskę, szarpaną ustawicznie prywatą możnych i osłabioną ciągłą wewnętrzną niezgodą, nie spotkał wówczas los Węgier, to po Bogu, który dla niej chował jeszcze dni pełne chwały, i Pannie Najświętszej, co nigdy nie przestała okazywać się miłościwą Królową swego wiernego ludu, miała to do zawdzięczenia wyłącznie zwycięskiemu orężowi **Jana Sobieskiego**.

Około roku 1681 nowe, więcej niż zwykle niepokojące, wieści zaczęły się rozchodzić po Europie o nadzwyczajnych przygotowaniach Turków na walną wyprawę przeciw chrześcijaństwu. Istotnie, z głębi **Afryki** i **Małej Azyi** zaczęły się w tym czasie wychylać coraz nowe już nie wojska, ale tłumy muzułmańskie, spieszące do Carogrodu pod chorągiew Proroka, wywieszoną nad sułtańskim serajem, — sztandar bojowy, co wedle podań tureckich sam się rozwija i podnosi w powietrze na wskazanie »wiernym« drogi do zwycięstwa. Trzydziestu baszów stawiło się wtedy nad Bosforem na rozkazy sułtana: han tatarski, **Murad Giraj**, zbierał z Krymu i stepów czarnomorskich wszystkie swoje hordy, Wołoszę i Mołdawców wiedli **Dukas** i **Kantakuzen**, powołano również pod broń ujarzmionych Węgrów i Siedmiogrodzan. Przeszło pół miliona rozmaitego ludu, w tem samego żołnierza regularnego 140;000 z 300 armatami, ściągało się przez całą zimę z 1682 na 1683 r. z różnych stron tureckiego państwa w kierunku serbskiego Białogrodu, skąd cała tłuszcza wyruszyć miała dalej przez Węgry ku Wiedniowi.

Wojna nie była wprawdzie żadnemu z europejskich państw wypowiedziana, naczelny wódz jednakże tych ogromnych sił, wielki wezyr **Kara-Mustafa**, nie taił bynajmniej właściwego celu wyprawy. Pokonać chciał najpierw cesarza niemieckiego, **Leopolda I**, zdobyć Wiedeń, następnie zaś zwrócić się na stolicę chrześcijaństwa, Rzym. Uniesiony pychą, a pewny zwycięstwa, odgrażał się, że Watykan obróci w stajnią, w kościele św. Piotra umieści wierzchowca sułtańskiego, czerwonego koguta zaś (jak z pogardą nazywał Papieża Inocentego XI) wsadzi w klatkę i pośle do Carogrodu padyszahowi w darze.

Wtenczas trwoga wielka padła na chrześcijaństwo: jak za wojen krzyżowych po wszystkich krajach katolickich powoływano ochotników, zbierano wszędzie jałmużny i ofiary, w otwartych dniem i nocą kościołach wznoszono do Boga modły o ratunek. W tak grożącem niebezpieczeństwie, oczy całego chrześcijaństwa, dziwnem jakiemś parte przeczuciem, zwróciły się mimowolnie ku północy, ku Polsce, od niej jedynie, a raczej od jej bohaterskiego króla tylko, spodziewając się wybawienia. Od wielu już bowiem lat krążyła po krajach chrześcijańskich Europy przepowiednia, której źródła szukać należy na Wschodzie u samychże mahometanów, że potęga turecka otrzyma śmiertelny cios od **Polaków**. O tej przepowiedni, czy przeczuciu, wspominają różni ówcześni chrześcijańscy pisarze. »*Apud Turcas*, (tak pisze np. słynny Jezuita, O. Kornel van der Steen, powszechnie **Cornelius a Lapide** zwany, na wiele lat przed wiedeńską potrzebą), *in fatis est et certum quasi oraculum, suum imperium a Polonis evertendum.* « *)

Ku Polsce zwrócił się również cesarz **Leopold I** poparty przez stolicę apostolską, i zawarł (dnia 31 marca 1683 r.) z królem **Janem III Sobieskim** przymierze zaczepne i odporne, przyrzekając sobie wzajemnie zbrojną pomoc przeciw Turkom, — przymierze, zatwierdzone niebawem przez Ojca św., **Inocentego XI**.

Tymczasem wojna została już Niemcom wypowiedziana. W połowie kwietnia 1683 r. wielki wezyr **Kara-Mustafa** wyruszył z Konstantynopola udając się do Białogrodu serbskiego, dokąd go główne siły tureckie dawno już były wyprzedziły. Aż do granic państwa towarzyszył mu samże padyszah, sułtan **Mahomet IV**, a odprowadziwszy swego wielkiego wezyra, któremu

*)To znaczy: U Turków uważa się jako rzecz od wieków już przeznaczoną i prawie pewne proroctwo, że ich państwo będzie zburzone przez Polaków. — Epistola dedicatoria in commentario in XII Minores prophetas praefixa.

niedawno własną córkę dał był za żonę, do głównego obozu tureckiego przy ujściu Drawy do Dunaju, oddał w jego ręce uroczyście wielki buńczuk, sajdak wysadzany dyamentami i złotem tkany kaftan — wszystko godła naczelnej władzy — i największą świętość turecką, ową wyżej już wspomnianą chorągiew Proroka. Poczem cofnął się do Białogrodu, oczekując tam skutków wyprawy.

Kara-Mustafa nie zawiódł nadziei, jakie na nim pan jego i cały islam pokładał. Nie kusząc się wcale o zdobycie austryackich twierdz i zostawiając je (wbrew wszelkim prawidłom ówczesnego sposobu wojowania) nieosaczone na swoich tyłach, skierował pochód swoich tłumów wprost na stolicę Austryi, przełamał szybko wszelkie przeszkody, umiał zwłaszcza zręcznie przeprawiać się przez rzeki, dzielące go od Wiednia, 2go lipca przeciągał już koło Raab (Jaworzyna), 14go zaś lipca w przeszło 200,000 wojska i 300 armat, nie licząc tłumu ciurów i wszelkiego szubrawstwa, stanął nareszcie pod murami upragnionego (pierwszego) celu swej wyprawy.

Pochód ten odbył się tak szybko, że dowódca wojsk austryackich, książę **Karol lotaryński**, współzawodnik Jana Sobieskiego do tronu polskiego z czasu elekcyi 1674 r., ustępując przed nawałą turecką pospiesznymi marszami, miał ledwie czas wzmocnić załogi w Jaworzynie (Raab) i Komornie, rzucić do Wiednia 10,000 piechoty, przeprawić się spiesznie na lewy brzeg Dunaju i zniszczyć za sobą mosty. Na tydzień zaś przed nadejściem wojsk wielkiego wezyra i obsaczeniem stolicy, cesarz **Leopold I** uciekł, wyszydzany przez pospólstwo, wraz z całą rodziną, z Wiednia w noc 7 lipca. Tchórzliwy a dbały jedynie o własną ochronę *imperator semper Augustus* nie zatrzymał się w spiesznej ucieczce aż za granicami swego kraju, w mieście bawarskiem Passawie. W ślad za zbiegłym *Landesvatrem* uszło z zagrożonej stolicy blisko 60,000 mieszkańców.

Jedyna pomoc pozostawała teraz w **Sobieskim**. Samą jego obecność pod okopami Wiednia uważał Leopold, uważali jego jenerałowie, za wielkie wojsko. Aby przynaglić przybycie króla polskiego pospieszyli do Wilanowa, zwykłej siedziby króla Jana pod Warszawą, poseł cesarski, **Wilczek**, i nuncyusz papieski, **Pallavicini**. Sobieski właśnie z synami wybierał się na Mszę św., kiedy poseł niemiecki, padłszy na kolana, zawołał: »*Królu, ratuj Wiedeń!*« a nuncyusz papieski dodał: »*i chrześcijaństwo.*« Leopold prawie mu już ustępował korony węgierskiej.

Pobożny król, zaczynając każde dzieło z Bogiem, zanim wyruszył na odsiecz, odwiedził wpierw w pobożnej pielgrzymce różne kościoły Najśw. Maryi Panny, łaskami słynące: był więc w Częstochowie, w Piekarach na Śląsku, u karmelitów w Krakowie na Piasku. Po zwycięstwie chocimskiem (11 listopada 1673 r.) ślubował był sprowadzić do Polski OO. Kapucynów; zostawszy królem sprowadził ich do Warszawy, teraz zaś przed wyjazdem, na ubłaganie łaski Bożej i błogosławieństwa dla oręża polskiego, położył (23 lipca) pierwszy kamień pod kościół dla »**Chrystusa Zwycięzcy**,« który dla kapucynów tuż pod Warszawą zakładał.

Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, mówi stare polskie przysłowie; sprawdziło się też teraz dosłownie. Błogosławieństwo Boże wspierało króla widocznie na każdym kroku, w całem przygotowaniu wyprawy. Od niepamiętnych czasów po raz pierwszy w Polsce wyprawa wojenna została ukończoną tylko w 20 dni: pod bronią stanęło 18,000 doborowego rycerstwa koronnego (nie licząc *towarzyszów* i pachołków) i parę tysięcy piechoty; dział mniejszego kalibru zabrano 28. Doczekawszy się jeszcze święta Wniebowzięcia Najśw. Panny i odwiedziwszy raz jeszcze prawie wszystkie kościoły w Krakowie, bohaterski król siadł na koń (15 sierpnia) i w imię Boże wyruszył ku Wiedniowi.

Skoro się rozniosła wieść o jego wyjeździe, chrześcijaństwo odetchnęło, lud słowiański na Morawach i (wówczas także jeszcze) Austryi dolnej, »*dobry i poczciwy jak nasz*,« witał wojsko polskie i jego króla z uniesieniem; miasta, przez jakie przechodził, stawiały bramy tryumfalne, na których (jak np. w Ołomuńcu u OO. Jezuitów) widniał napis: *Salvatorem exspectamus* (1).

Był też **Sobieski** istotnie mężem opatrznościowym, jak o tem każdy moment tej wiekopomnej wyprawy świadczy, i jedynym, który umiał i mógł wojsko chrześcijańskie, zbierające się stosownie do jego rozporządzenia koło Tuln nad Dunajem a złożone w wielkiej części z ochotników, pochodzących z najróżniejszych krajów, mówiących przeróżnemi gwarami i należących do rozmaitych sekt chrześcijańskich, natchnąć jednym duchem, skierować do jednego celu, napełnić ślepą ufnością ku sobie, jako wodzowi, i ożywić wiarą w odniesienie zwycięstwa.

Tyle co się tyczy prostych żołnierzy.

Poważne trudności groziły mu zato ze strony licznych, mniejszych i większych dowódców, fürstów, kurfürstów, grafów, herzogów i t. d. niemieckich, wiodących tłumy swych »*versuchte Soldaten*« pod Wiedeń.

Elektor saski, **Jan Jerzy III** np., wyruszając z wojskiem pod Tulu, kazał swemu suwerenowi (cesarzowi **Leopoldowi I**) przez umyślnych posłów oświadczyć, że niema wprawdzie nic przeciw temu, ażeby król polski sprawował naczelne dowództwo, ale miał to czynić w taki sposób, ażeby on (kurfürst) był o wszystkich postanowieniach wpierw uwiadomiony, »*w bitwie zaś miał* (Sobieski) *używać tylko takich wyrazów, któreby w sobie nie mieściły żadnego bezwarunkowego rozkazu.*« (2)

Zatargi wszelkiego rodzaju, krnąbrność, a w danym razie nawet otwarte nieposłuszeństwo, mogące łatwo całą odsiecz na szwank narazić, groziły dalej ze strony młodego i ambitnego elektora bawarskiego, **Maxymiliana Emanuela**, ze strony księcia **Waldeck**, księcia **Karola** lotaryńskiego,

---

(1) Oczekujemy zbawcy.

(2) Cfr. Fr. Raumer, *Kurfürst Johann Georg III bei dem Entsatze von Wien im Jahre* 1683. Histor. Taschenbuch, IX Jahrg. S. 260.

byłego współzawodnika (jak już raz powyżej było wspomniane) Sobieskiego do tronu polskiego i t. d.

Starcia i waśni pomiędzy tylu podkomendnymi a naczelnym wodzem w obozie chrześcijańskim przewidywał Ojciec św. **Inocenty XI**, i dlatego, celem możliwego ich uchylenia, wysłał pod Wiedeń świątobliwego kapucyna, **O. Marka d'Aviano**; napewne zaś spodziewał się ich ten, który je sam zwykle wszczynał, — sztywny i niedołężny **Leopold I**.

Otóż i pod tym względem okazało się, że błogosławieństwo Boże towarzyszyło królowi Janowi na każdym kroku, że był wodzem wybranym przez Opatrzność Boską i że nie daremnie oddał był siebie, swe wojsko i los całej wyprawy pod Opiekę Najśw. Maryi Panny. Był on rzeczywiście owym »*mężem, posłanym od Boga, któremu było imię Jan,*« za jakiego całe chrześcijaństwo niebawem miało go ogłosić, jedynym, który butnych niemieckich panoszów od pierwszej chwili zetknięcia się z nimi umiał sobie ująć, przywiązać do swojej osoby i poprowadzić, dokąd zechciał. Górował nad nimi głęboką znajomością sztuki wojennej oraz licznemi zwycięstwami, które już był nad Turkami odniósł: więcej jednak niż to, czarował ich (do czego nigdy nie byli przyzwyczajeni ze strony swego suwerena) prostym, szlachetnym, prawdziwie rycerskim sposobem obejścia.

To też elektor saski, który tylko pod pewnymi warunkami pomoc swoją był przyobiecał i tylko po długiem ociąganiu się i z wielką niechęcią na radę wojenną w głównej kwaterze Sobieskiego (3 września, w *Städtelsdorf*) się stawił, oddał się, skoro tylko króla Jana bliżej poznał, od razu całem sercem jemu na rozkazy. Pierzchły wszelkie zastrzeżenia, które był tak długo pieścił i które pierwotnie Sobieskiemu zamierzał narzucić: w czasie bitwy pełnił rozkazy króla polskiego jak prosty podkomendny i do końca życia głęboką żywił cześć dla swego byłego generalissimusa z pod Wiednia. (1)

Nie mniejsze wrażenie sprawił »*mąż o twarzy Cezara*« na młodym elektorze bawarskim, Maxymilianie Emanuelu, który się od pierwszego spotkania doń przywiązał jak syn, a gdy w 11 lat później owdowiał po pierwszej żonie, córce Leopolda I, zamiast szukać koligacyi gdzieindziej, zaślubił córę dawnego swego wodza, szlachetną **Teresę Kunegundę Sobieską**.

Jak był zaś dla niego usposobiony **Lotaryńczyk** i reszta wodzów niemieckich, o tem świadczą ówczesne dyaryusze, świadczą również listy samego króla Jana. Wszyscy bez wyjątku ulegli urokowi, który bił z majestatycznej jego postaci, ulegli czarowi jego obejścia. Próżne więc były obawy Ojca św. i cesarza **Leopolda**: jedność panowała w obozie chrześcijańskim. »*Słuchali mnie tak, jako nigdy nasi,*» pisał **Sobieski** o Niemcach do królowej Maryi Kazimiery. Z zapałem oświadczali mu, że pod jego komendą pójdą choćby na koniec świata. (1)

(1) Zob. *Tagebuch* koniuszego Bose, nieodstępnego towarzysza i zaufanego powiernika elektora Jana Jerzego III.

Odbywszy kilka narad wojennych z jenerałami cesarskimi celem dokładnego poznania okolicy pomiędzy Tuln a Wiedniem, w której stanowczej rozprawy z Turkami się spodziewał, i przeprawiwszy na prawy brzeg Dunaju najprzód polskie zastępy a potem Niemców, objął **Sobieski** w dniu 8 września naczelne dowództwo nad całem wojskiem chrześcijańskiem. Dzień ten — święto Narodzenia Najświętszej Panny —, w którym ujął za buławę, bynajmniej nie był przypadkowym, jak nim nie był dzień, w którym wyruszał na odsiecz. Głęboko pobożny i nie na własne siły, lecz jedynie na pomoc z nieba liczący, rycerski król, jak był całą wyprawę poruczył Opiece Przeczystej Dziewicy, tak też wszelkie ważniejsze tejże momenta rozpoczynał w dni, chwale Jej i czci poświęcone.

Zaczem, zaopatrzywszy wojsko na kilka dni w żywność, o ile jej starczyło, (konie musiano już żywić liśćmi), sam poprzestając na suchym chlebie i noclegi odbywając pod gołem niebem, ustawiwszy hufce polskie na prawem skrzydle — od czasów Spartyatów we wszystkich wojskach jako honorowem wprawdzie uważanem, ale tutaj właśnie dla tego, że najgorsze przeprawy i same bezdroża przed sobą mającem —, gdy już zewsząd spędzeni wieśniacy wyrąbali jakie takie przejścia w lasach, pokrywających stoki ostatnich odnóg Alp wschodnich, dobiegających do Dunaju i spiętrzających się pod Wiedniem pod nazwą *Kahlenbergu*, u stóp którego wojsko stanęło, król Jan wydał rozkaz ruszenia w pochód, na przełaj gór, w kierunku dogorywającej rakuskiej stolicy.

(1) „*Und der Kurfürst* (dodaje RAUMER w wyż przytoczonej rozprawie o Janie Jerzym III, wspominając o tym entuzyazmie Niemców dla osoby Sobieskiego) *war offenen und geraden Charakters und redete nicht anders als er dachte.*" — Elektor Jan Jerzy opuścił wprawdzie wraz z wojskiem, nie pożegnawszy się z nikim, towarzyszów broni w trzy dni po bitwie pod Wiedniem „*wegen zugestossener Unpässlichkeit*", ale stało się to jedynie z przyczyny Leopolda I.

W tem miejscu niech nam będzie wolno dodać jeszcze następującą uwagę.

Ktokolwiek miał sposobność obcowania bliżej z rozmaitymi dyaryuszami, *Tage-* i *Jahrbuchami* z czasu odsieczy wiedeńskiej, w tym chyba tylko politowanie wzbudzić mogą wysiłki kłamliwych historyków niemieckich (Kloppa, Rönnera, Camesiny, a dawniej już Lochnera) i innych, którzy z bohaterskich skroni rycerskiego króla pragną teraz zedrzeć krwawo i tylko własną zasługą zdobyte wawrzyny, ażeby nimi przyozdobić ulubieńców swojego wyboru: Lotaryńczyka lub którego z dwóch wyżej wspomnianych kurfürstów, jego zaś wepchnąć w tłum duków niemieckich, każąc mu pod Wiedniem co najwyżej odgrywać rolę to Godfryda z Bouillon, to Agamemnona, — w rodzaju jakiegoś *primus inter pares*.

Marne wysiłki. Kulawe porównania. Sobieski pod *Wiedniem* nie był ani Godfrydem, ani Agamemnonem, ale jeżeli już mamy sięgać aż do klasycznych wzorów, ażeby określić jego rolę wobec sprzymierzonych książąt, tudzież rodzaj dowództwa i stosunek do podkomendnych, to był on στρατηγὸς αὐτοκράτωρ (naczelny i samodzielny wódz), jakim r. 338 przed Chr. ogłosili Grecy, zebrani na sejmie w *Koryncie*, króla Filipa macedońskiego na wojnę przeciw Persom i jakim właśnie był syn tegoż Aleksander, wiodący zaciągi greckie przeciw Azyatom. Całą kampanię przeciw Turkom prowadził Sobieski samodzielnie, samodzielnie kierował ruchami wojsk, rozporządzał podkomendnymi, własnorecznie skreślił *ordre de bataille*.

Siły wojska sprzymierzeńców, niosącego jej pomoc, wynosiły przeszło 70,000 wojowników.

Rozkaz naczelnego wodza wykonano w lot.

Zawarczały bębny, zabrzękły pałasze, zadudniła ziemia pod miarowym krokiem niemieckiej piechoty, jeżył się las kopii, szeleściły skrzydła husarzy polskich; w szeregach Niemców rozległy się gromkie okrzyki: *Es lebe der König von Polen!* rycerstwo polskie zanuciło stary bojowy hymn, odwieczny **paean** polski:

Boga Rodzico, Dziewico,
Bogiem sławiona Maryo!

Śpiewało go pono po raz ostatni.

. . . .

Z tamtej strony Kahlenbergu tymczasem przypuszczali Turcy począwszy od 18 lipca szturm po szturmie do wałów Wiednia. Z początku były one zajadłe a pociski ottomańskich dział tak celne, że już 7 sierpnia umilkły rakuskie armaty na okopach. Niezadługo mury miasta coraz więcej zaczęły się rysować a wyłomy w nich zwiększać. Dzielni mieszkańcy naprawiali jednakże w nocy szkody zrządzone we dnie, a choć ich i tak już szczupłe szeregi dziesiątkowały kule tureckie i wybuchłe choroby, choć załoga miasta zmniejszyła się już do połowy a niedostatek żywności z dniem każdym wzrastał, to jednak ufni w przyrzeczoną pomoc, stawiali pohańcom rozpaczliwy odpór. Wszelkie ich wysiłki musiałyby jednak spełznąć na niczem i bez żadnego wątpienia musieliby uledz przemocy, gdyby turecki wódz chciał był zrobić należyty użytek z ogromu sił, któremi rozporządzał.

Kara-Mustafa wszakże, w którym się obudziła niepohamowana żądza zagarnięcia wyłącznie dla siebie niezmiernych bogactw, zewsząd do miasta zwiezionych, postanowił zmusić jego obrońców głodem i wyczerpaniem sił do kapitulacyi, i dla tego nie spieszył się bynajmniej ze szturmem stanowczym. Otoczywszy się niesłychanym przepychem i tem wszystkiem, co tylko wyuzdany zbytek wymyślić może: w namiocie, który ze szczytów Kahlenbergu wydawał się *„jak Warszawa lub Lwów w murach,”* po kilku tygodniach powolnego oblegania zapadł w gnuśność i otrętwienie iście Azyaty. Pod murami Wiednia znalazł swoją Kapuę. Nie był to już ów dawny, straszny **Kara-Mustafa** z czasów oblegania Kandyi lub wypraw na Ukrainę i śmiały wódz jeszcze z wiosny tego roku, lecz zwykły turecki niedołężny, zbytkami wycieńczony basza. Jak gdyby Kahlenberg był nieprzebytym murem, odgradzającym go od reszty świata, obojętnie przyjmował wieści o tem, co się z tamtej jego strony działo, lekceważył sobie ściąganie się wojska chrześcijańskiego i do ostatniej chwili nie wierzył w przybycie **Sobieskiego** na odsiecz. Głuchy na przedstawienia podkomendnych nie uczynił nic, aby utrudnić, a nawet wprost uniemożliwić chrześcijanom przeprawę przez Dunaj, zaniechał obsadzić Kahlenberg i zamienić go w niezdobytą twierdzę. Zapatrzony w miasto, które oblegał a które za przyszłą swoją stolicę uważał, przyspieszał jedynie rycie podkopów i zadawalniał się tem, iż jego działa czyniły coraz większe szczerby w murach.

Jakoż w pierwszych dniach września doprowadził roboty oblężnicze tak daleko, że Wiedeń dłużej nad dni kilka opierać się już nie mógł. Dowódca jego, *Stahremberg*, wypuszczając co chwila rakiety z wieży św. Szczepana, na znak ostatecznego niebezpieczeństwa, zwątpił już o wybawieniu, a mieszkańcy przed wystawionym po wszystkich kościołach Najśw. Sakramentem gotowali się na śmierć niechybną.

Wtem na szczytach Kahlenbergu (11 września) zajaśniały ognie zwiastujące odsiecz: nadszedł nareszcie oczekiwany zbawca, Sobieski przybył na ocalenie miasta i chrześcijaństwa.

Dawno przeczuwana, przez długi czas przygotowywana, nadeszła nareszcie chwila stanowczej rozprawy między chrześcijaństwem a islamem. Pod murami rakuskiej stolicy miała się teraz rozegrać walka na śmierć lub życie pomiędzy cywilizacyą zachodnią a barbarzyństwem, pomiędzy religią ducha a religią ciała, pomiędzy Azyą a Europą. Dwa wojska, przedstawiciele jednej i drugiej, stanęły naprzeciw siebie, ażeby ze sobą zwieść śmiertelny pojedynek i pokonywując przeciwnika pokonać również to, co tenże niósł wypisane na swoim sztandarze. Chwila była ważną, donioslość jej czuło całe chrześcijaństwo i z bijącem sercem, z zapartym tchem, czekało jej rozwiązania. Od tej jednej bitwy, która obecnie miała się stoczyć, od jej wyniku, zawisł — takie było ogólne przekonanie — dalszy chrześcijaństwa wolny byt, lub sroga pod jarzmem muzułmańskiem niewola.

W obozie Sobieskiego wielki ten dzień (była to niedziela 12 września) rozpoczął się z Bogiem.

Na dwie godziny przed wschodem słońca król **Jan** kazał z bębnów ustawić ołtarz; wojsko wysłuchało Mszy św., odprawionej przez dominikana, O. Skopowskiego. On sam udał się z wodzami i szesnastoletnim synem **Jakóbem** do kaplicy na Leopoldsberg i wierny zwyczajom królów polskich, którzy ile razy w obozie przebywali, sami do Mszy św. służyli, ukląkł pobożnie na stopniach ołtarza i służył do Mszy, odprawianej przez wysłańca papieskiego, świątobliwego kapucyna, **O. Marka d' Aviano.**

Był to już ostatni król polski, który w obozie do Mszy św. służył.

Po podniesieniu leżał krzyżem, następnie wspólnie z wodzami katolickimi przyjął komunię św. Przy końcu tej pamiętnej Mszy, **O. Marek** obróciwszy się na *Ite missa est*, miasto wymówić te słowa, zawołał natchniony: **vinces Joannes!** (zwyciężysz, Janie!). Po skończonem nabożeństwie, na pamiątkę dnia tego, pasował Sobieski królewicza **Jakóba** na rycerza, otrzymał razem z całem wojskiem błogosławieństwo papieskie, udzielone przez **O. Marka**, poczem dosiadł konia i dał znak do bitwy.

Rozległo się pięć strzałów armatnich.

W pięciu długich kolumnach, jak gdyby pięć żywych, krętych potoków, złożonych z piechoty i jazdy, zaczęło się spuszczać ze szczytów Kahlenbergu. W miarę spłaszczania się stoków gór i zwiększania wolnej przestrzeni kolumny rozwijały się w szyk bojowy w trzy linie, spełniając ściśle z niemiecką dokładnością *ordre de bataille*, skre_

*



DEFENSOR FIDEI, król Jan III Sobieski, i naczelnicy ligi chrześcijańskiej w r. 1571.
(Fresko kopuły kościoła salezyańskiego *Maria Ausiliatrice* w Turynie).



ALEGORYA DZIEŁ SALEZYAŃSKICH.

(Fresko kopuły kościoła *Maria Ausiliatrice* w Turynie).

ślony przez naczelnego wodza. Na lewem skrzydle, pod wodzą **Lotaryńczyka**, szła piechota austryacka i jazda Lubomirskiego; środek zajmowali **Sasi**, **Bawarczycy** i wojska środkowej Rzeszy niemieckiej; prawe skrzydło, polskie, powierzone było hetmanowi **Jabłonowskiemu**. O sobie zapowiedział **Sobieski**, że znajdzie się tam, gdzie najpilniejsza okaże się potrzeba wodza i największe będzie niebezpieczeństwo.

Gdy po trzydniowym, nader uciążliwym i wszelkiemi przeszkodami najeżonym marszu z Tuln stanął nareszcie na szczytach gór i ujrzał między sobą a obozem tureckim obszerny i nierówny teren, przerywany lasami, to znów pagórkami i wąwozami, sądził wielki wódz, że wypadnie mu postępować krok w krok »*alla secura*, sposobem Spinoli« i że nie zdoła spuścić wojsko na równinę i zbliżyć się do obozów tureckich, aż po licznych i zażartych utarczkach na forpocztach, co wszystko wedle jego obliczenia mogło zająć dwa dni. Wskazał przy tem wodzom niemieckim te szczyty przeciwległych pagórków, na których zamierzał kazać wojsku spędzić noc 12go i 13go września.

Gdy więc według jego rachuby walna z Turkami rozprawa miała się odbyć dopiero 14go września, obdarzyło go niedołęstwo i zaślepienie tureckiego wodza jeszcze tego samego dnia (tj. 12go września), w którym akcyę rozpoczął, zwycięstwem tak świetnem, jakiemu równe, dzieje powszechne z trudnością tylko mogą wykazać. Stało się to oczywiście jedynie wskutek własnej gnuśności i lekceważenia swego przeciwnika, że **Kara-Mustafa** tak samo, jak był nie przeszkodził wojsku chrześcijańskiemu w przejściu przez Dunaj, jak następnie zaniechał uderzyć na rozdzielone i pojedyńczo na Kahlenberg wdzierające się niemieckie i polskie kolumny, jak wogóle całkiem był zaniedbał obsadzić Kahlenberg, tak i teraz, zamiast osobiście poprowadzić wojska przeciw zstępującym z gór zastępom Sobieskiego i użyć przeciw nim licznej artyleryi i jańczarskiej piechoty, — wolał sam oblegać dalej Wiedeń, zatrzymując przy sobie piechotę i wszystkie działa, a przeciw Sobieskiemu wysłał tylko lekką jazdę, Wołochów i chmury Tatarów.

Wszystkie błędy strategiczne swego przeciwnika wyzyskał należycie geniusz wojenny króla Jana.

Jeszcze dnia wczorajszego, zaledwie stanął z wojskiem na szczytach gór, kiedy na widok niezmiernego obozu tureckiego i tłumów przeszło dwustutysięcznych **Kara-Mustafy** zadrżały serca najmężniejszych z niemieckich wojowników, on jeden, przed którego okiem tyle się już różnych przesunęło obozów i wodzów tureckich, zachował spokój umysłu, a przypatrzywszy się pilnie położeniu obozu nieprzyjacielskiego, od razu ocenił wartość tureckiego wodza i obliczył szanse orężnego z nimże spotkania.

Ocenił go i wyraził się o nim, jak pod Kannami **Hannibal**, patrzący na wyprowadzającego z obozu rzymskie legiony konsula **Varrona**. „ *Messieurs*, rzekł **Sobieski** o Kara-Mustafie do otaczających go wodzów, „ *cet homme est un ignorant. Nous le battrons.* To głupiec. Pobijemy go. Przypatrzcie się, jak rozłożone to wojsko. Ani to się okopało, ani ściśnięte w kupę. Stoi, jakobyśmy byli o sto mil od niego. Albóż wobec umiejętnego wodza dokazalibyśmy sprzeprawić się tak łatwo przez rzekę, jak Dunaj? Czy pozwoliłby nam stanąć na tem miejscu, na którem jesteśmy? ”

Słowa te naczelnego wodza rozniosły się w lot po całem wojsku i nietylko mu dodały otuchy, ale wywołały, zwłaszcza pomiędzy Niemcami, zapał i pewność zwycięstwa. To też kiedy 12go września o godzinie 8ej z rana pod okiem **Sobieskiego** lewe (austryackie) skrzydło, najbliższe nieprzyjaciela, poszło, poparte przez Sasów, pierwsze do ataku i wywiązała się walka z tureckimi *spahisami*, natarcie niemieckich pułków było tak skuteczne, że turecka jazda, nie wspomagana nigdzie przez własną piechotę ani artyleryą, musiała wszędzie ustępować chrześcijanom pola i spędzana z pozycyi na pozycyą pierzchła ostatecznie w nieładzie po przez Nussdorf aż na wzgórza za Heiligenstadt.

Chrześcijańskie centrum, nie napotkawszy w tym czasie przed sobą nieprzyjaciela, postępowało zwolna naprzód, starając się utrzymać równą linię z lewem skrzydłem. Około południa obydwie te części wojska sprzymierzonego, spełniwszy wyznaczone sobie zadanie, stanęły u stóp Kahlenbergu i przerwały walkę, ażeby odpocząć i czekać nadejścia Polaków.

Sobieski udał się teraz na prawe (polskie) skrzydło, które dotąd jeszcze z przyczyny dalekiego i utrudnionego marszu do akcyi nie było przyszło i całe przedpołudnie przedzierać się musiało po przez parowy i gęste górskie zarośla.

Tak minęło południe. Oczy niemieckich wodzów i żołnierzy zwrócone były ku pagórkom w okolicy Dornbach, skąd polskie hufce zstępować miały. Była już druga godzina. Wtem ponad Dornbach ukazały się proporce, zabłysły w słońcu kopie polskich rycerzy: oczekiwane zastępy stanęły wreszcie na polu bitwy. Ich przybycie powitali Niemcy grzmiącymi okrzykami radości: *vivat rex Poloniae! es lebe der König von Polen!* aż odgłos odbił się w obozie nieprzyjacielskim. Nie czekając rozkazu oficerów żołnierze sami pochwycili za broń i tylko z trudem można ich było utrzymać w szeregach.

Rycerski król powiódł osobiście hufce polskie do boju i sam wziął w nim udział: własnoręcznie zdobył buńczuk turecki, własną szablą zwalił kilku Turków z konia. Na widok proporców husarskich i gdy usłyszeli znany im okrzyk: »*Boże błogosław Polsce!*« uwierzyli nareszcie Turcy, czego dotąd nie przypuszczali, że mają z **Sobieskim** do czynienia. **Kara - Mustafa** rzucił się teraz całą siłą na wojsko polskie. Przed głównym swoim obozem ustawił prawie wszystką swoją piechotę, przez co ogołocił i osłabił oba swoje skrzydła, a nadto sprowadził zamięszanie na całej linii; stary wilk wojny, begler - bej Budy, **Ibrahim - basza**, skierował przeciw Polakom wszystkie działa polowe. Wywiązała się zażarta walka, trwająca aż do godziny piątej po południu. Pomimo przeważających sił, Turcy zostali ostatecznie wyparci z pagórków, na szczycie których **Sobieski**, w równej linii z centrum i lewem

skrzydłem chrześcijańskiem, zamierzał dać odpocząć strudzonym szeregom i zakończyć na dzisiaj tak szczęśliwie rozpoczętą walkę. Bystre wszakże jego, a w licznych z Turkami potyczkach doświadczone oko, dostrzegło w tej chwili w wojsku nieprzyjacielskiem wielki natłok i ogólne zamięszanie. Zmieniając zatem pierwotny plan bitwy, pomimo zmęczenia swoich wojowników, wysłał do Niemców w centrum i na lewe skrzydło rozkaz uderzenia ławą, sam zaś stanąwszy przy chorągwi królewicza Aleksandra na czele wszystkiej swej jazdy, skierował atak w samo serce głównego tureckiego obozu.

Była to świetna szarża kawaleryi, jakiej podobnej nie wykazują i pono nie wykażą więcej dzieje. Rozpęd jazdy był tak wielki, natarcie tak gwałtowne, że nie było husarza, któryby nie miał kopii potrzaskanej. Rycerstwo polskie przebyło w pędzie strugę *Alsbach*, przesadziło płoty, przedarło się przez zarośla, parowy i różne przeszkody, nieprzystępne nawet dla piechoty, rozbiło w puch nieprzyjacielską jazdę, wpędziło ją na piechotę i własną artyleryą, cały ten kotłujący się, ściśnięty i zmięszany tłum zagnało wreszcie pod sam wielki obóz, a gdy i Lotaryńczyk i obaj elektorowie złamali z łatwością przeciw sobie stojące szyki, wtedy cała ogromna, gdyż dwustutysięczna, masa nieprzyjacielskiego wojska pierzchła pod osłoną nocy w bezładnej ucieczce, zostawiając na pobojowisku 280 dział, 9000 wozów, 125,000 namiotów, pomiędzy nimi namiot Kara-Mustafy z wielkimi skarbami i chorągwią Proroka. O 7-ej wieczorem Wiedeń był oswobodzony; proporzec królewski sterczał po nad namiotem wielkiego wezyra. Cały obóz turecki dostał się zwycięzcom i poszedł na podział. Straty tureckiego wojska dochodziły do 15,000 ludzi; chrześcijanie nie stracili ich nawet tysiąc.

Tak się skończył ten wielki dzień, który na zawsze złamał potęgę muzułmanów, taki był przebieg najświetniejszego czynu oręża polskiego, co po wszystkie wieki sławą okrył polskiego bohatera i naród, co go wydał; takie było to walne zwycięstwo chrześcijaństwa nad islamem, cywilizacyi nad barbarzyństwem, Zachodu nad Wschodem, Europy nad Azyą — zwycięstwo, do odniesienia którego Opatrzność Boska powołała Polaków i które dla tego słusznie zwać się może **gesta Dei per Polonos.**

W całym świecie chrześcijańskim, we wszystkich kościołach zabrzmiały pienia dziękczynne, po wszystkich kazalnicach uwielbiano imię *»człowieka, posłanego od Boga, któremu imię było Jan«*; nie było pisarza, poety, któryby go nie uczcił. *»Ocaliłeś wszystkie państwa i narody, dałeś życie i wolność przyjaciołom i nieprzyjaciołom: Tobie się należy panowanie nad światem!«* pisała z Rzymu **Krystyna,** królowa szwedzka. *»Tyś pierwszy, który we mnie zazdrość obudził: zazdroszczę Ci, że jesteś oswobodzicielem chrześcijaństwa«.*

On jednakże, prawdziwy, ale i ostatni już rycerz chrześcijański, **defensor fidei,** (1) nie upoił się ani odurzył ziemską chwałą, którą go darzono, i nigdy sobie ani swoim, lecz jedynie Panu Bogu i wstawieniu się Najświętszej Panny przypisywał zwycięstwo. Kiedy witany okrzykami, pełnemi zapału, przebiegał przed południem chrześcijańskie pułki, ani na chwilę nie uniósł się pychą, lecz zawołał z pokorą słowy psalmisty: *»nie nam, Panie, nie nam, ale imieniowi Twojemu daj chwałę«* (Psalm CXIII); donosząc Ojcu św. o zwycięstwie rozpoczął list od słów: *venimus, vidimus, et Deus vicit* (1); pierwsze słowa listu, pisanego do królowej Maryi Kazimiery, były: *»Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i chwałę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nie słyszały.* Rycerz chrześcijański dał chwałę Bogu z czynu swego, to też Bóg wywyższył go już na tej ziemi, gdyż jak daleko sięga chrześcijaństwo, choć 200 już lat upłynęło od wiedeńskiej potrzeby, chociaż imię Polski u obcych zaledwie się wspomina, to po dziś dzień każdy choćby średnio tylko wykształcony katolik zna i z największą czcią wymawia imię **Jana Sobieskiego.** Oswobodzonemu zaś przez niego miastu od 200 lat przypomina ciągle dziękczynna tablica: *Da, Vienna, Deo gloriam, serenissimo regi Polonorum gratias age, aeternum fove nomen et gesta polona.* (2)

Jak wielki wódz, podobnież Kościół katolicki, widział w zwycięstwie pod Wiedniem wyraźne działanie Opatrzności Boskiej i Opiekę Najśw. Panny. Stąd Ojciec św. **Inocenty XI,** naśladując Papieża **Kaliksta III,** który na pamiątkę zwycięstwa chrześcijan pod Białogrodem (r. 1456) ustanowił był święto *Przemienienia Pańskiego* (mające się obchodzić dnia 6 sierpnia), odznaczył również i uwiecznił po wszystkie czasy odsiecz Wiednia, ustanawiając święto **Imienia Maryi,** mające przypadać na każdą 2ą niedzielę września; w stolicy chrześcijaństwa zaś wzniósł, dopełniając przyjętego na się ślubu, przy *forum Traianum* kościół na cześć Najśw. Panny *della vittoria.*

4. Ustanowienie święta Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych.

Dwa powyższe i wiele innych jeszcze przesławnych, a dla całego chrześcijaństwa niesłychanej doniosłości zdarzeń historycznych, przysparzających chwały Najświętszej Dziewicy, gdyż jednogłośnem zdaniem wszystkich tylko za Jej przemożną uzyskanych przyczyną, wzbudziły już były dawno wśród wiernych żywe pragnienie, by Kościół wyraźnie wdał się w sprawę i oznaczył dokładnie sposób, w jakiby można oddawać cześć Przenaj-

(1) **Obrońca wiary,** tytuł ten zaszczytny otrzymał Sobieski od Ojca św. Inocentego XI.

(1) Przybyliśmy, widzieliśmy, a Bóg zwyciężył.

(2) Oddaj, Wiedniu, chwałę Bogu, najjaśniejszemu królowi polskiemu dzięki, przechowaj wiecznie pamięć imienia i dzieła Polaków.

świętszej Bogarodzicy jako **Wspomożycielce Wiernych.**

Pod pewnym względem Kościół dawno już był zaprowadził, a przynajmniej dozwolił nabożeństwo pod powyższem wezwaniem, gdyż zatwierdził bractwa, które tu i owdzie się zawiązały, i uposażył modlitwy, które Najśw. Pannę wielbiły jako **Wspomożycielkę Wiernych**, licznymi odpustami.

Brakowało tylko jeszcze w kalendarzu kościelnym ściśle oznaczonego dnia, w którymby oddawano Najśw. Pannie Maryi cześć pod powyższem wezwaniem, t. j. nie było jeszcze w Kościele święta z przepisanemi modlitwami, Mszą św. i oficyum, zatwierdzonem przez prawowitą władzę duchowną. Aby Papieże, jako najwyżsi Pasterze i Rządcy Kościoła, na ustanowienie podobnego święta ostatecznie zezwolili, na to potrzeba było jeszcze jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia, które też nie długo dało wiernym na siebie czekać.

Cudowny zaiste sposób, w jaki Ojciec św., Pius VII, został uwolnionym z niewoli, w jakiej go przez długi czas był trzymał świecki tyran, — oto okoliczność, która stała się najbliższym powodem do ustanowienia uroczystości Najśw. Maryi Panny jako **Wspomożycielki Wiernych.**

Ostatni żelazny despota, cesarz francuski Napoleon I, na początku bieżącego stulecia w różnoraki sposób uciskał był Ojca św., Piusa VII, jużto grabiąc mu dochody i przywłaszczając sobie wogóle własność Kościoła, jużto rozpędzając i więżąc kardynałów i biskupów.

Nie poprzestając na tem, domagał się jeszcze od Papieża różnych przywilejów i szczególnych praw, na które tenże żadną miarą zezwolić nie mógł. Na odmowną odpowiedź Piusa VII odpowiedział Napoleon gwałtem i świętokradztwem. Ojca św. uwięziono we własnym pałacu i razem z sekretarzem stanu, kardynałem Pacca, uprowadzono przemocą do *Savony*, miasta włoskiego, leżącego nad morzem Śródziemnem w Liguryi, gdzie od rządu i jego służalców prześladowany, lecz od mieszkańców tego miasta, a w ogólności od wszystkich wiernych zawsze jak największą czcią otaczany, Ojciec św. przepędził przeszło pięć lat w uciążliwem więzieniu. Ponieważ jednak i tym razem stwierdziła się owa znana i licznych za sobą wieków powagę mająca prawda, że na każdem miejscu, na którem przebywa Papież, przebywa również głowa widzialna Kościoła, zatem i obecnie wszyscy prawowierni katolicy, zamiast ku Rzymowi, zwrócili się ku chwilowemu miejscu pobytu Piusa VII i skupili się duchowo koło dostojnej jego osoby, tak iż Savona stała się jakby drugim Rzymem. Oznaki wszakże te niezłomnego przywiązania i miłości prawdziwie synowskiej, jakiej ze strony wiernych doznawał ciągle Ojciec św., wzbudziły tylko gniew i zazdrość w Napoleonie, który koniecznie pragnął upokorzyć Następcę Chrystusa na ziemi i zrobić go swoim sługą, zaczem rozkazał Papieża przenieść z Savony do *Fontainebleau*, zamku niezbyt odległego od Paryża.

Podczas gdy Ojciec św. jęczał w niewoli, całkiem odosobniony od swoich doradców i przyjaciół, cóż pozostało innego wiernym katolikom, jak naśladować przykład, dany im przez pierwszych chrześcijan z czasów, gdy Piotr św. wtrącony był do więzienia, i modlić się o jego wybawienie? To też modlili się na tę intencyą gorąco wszyscy katolicy, wzywając przedewszystkiem pomocy Przenajświętszej Dziewicy, którą nie na darmo nazywano zawsze *magnum in Ecclesia praesidium* (obroną Kościoła).

Jest powszechne mniemanie, iż Pius VII ślubował wówczas Najśw. Pannie, że ustanowi na Jej cześć święto pod wezwaniem *Panny Maryi Wspomożenia*, jeżeli będzie mógł wolno powrócić do Rzymu na stolicę apostolską.

Tymczasem szczęście, przywiązane do zwycięskiego rydwana wielkiego Zdobywcy, uśmiechało mu się statecznie. Spiesząc od zwycięstwa do zwycięstwa ujarzmił niebawem połowę Europy, a straszne jego imię brzmiało chwałą po wszystkich częściach świata. Ludom podbitym wydawał się niezwyciężonym, on sam o sobie żywił toż samo przekonanie, to też po kilku latach niesłychanego powodzenia i nigdy niebywałych tryumfów wojennych, pycha jego nie znała granic. Aliści jak tylu innych wielkich zdobywców przed nim, był on tylko narzędziem Boskiej Opatrzności, która się nim posługiwała do swoich niezbadanych celów i wyroków. Gdy nadeszła »pełnia czasów«, przyszła również chwila upokorzenia dla rozhukanego wojownika. On, który szydząc z klątwy, rzuconej nań przez Piusa VII, twierdził, iż ta nigdy nie wytrąci karabinów z rąk jego grenadyerów, gdy w roku 1812 poniósł swój oręż w zimne kraje Rosyi, za zrządzeniem Opatrzności Boskiej znalazł tam kres swoich nadużyć i jawnych gwałtów. Ramię sprawiedliwości Bożej wytrąciło broń z rąk dumnego mocarza i jego półmilionowej armii. Najświętsza Marya Panna, do której ustawicznie zanoszono modły, ulitowała się nad uwięzionym zastępcą Chrystusa Pana i nad poniżeniem Kościoła, przyspieszyła uwolnienie Papieża z niewoli, Kościoła zaś podwyższenie, i w jednej chwili zmieniła losy Europy i całego świata.

Ciężka zima w Rosyi, nieudolność wielu jenerałów francuskich i zdrada prawie wszystkich jego sprzymierzeńców, zniweczyły na zawsze dumne zaborcze zamysły Napoleona i zwaliły go z tronu. Całe jego ogromne państwo, owoc kilkuletnich podbojów i niesłychanego szczęścia wojennego, podziw dla współczesnych i potomnych, zapadło się w jednej chwili tak, jak budowa z kart za podmuchem najlżejszego wiatru, grzebiąc w swoich gruzach i mocarza i jego dynastyą.

Po upadku tyrana sprawiedliwość mogła bez przeszkód kreślić dalej swój bieg: różni przez niego tronu pozbawieni władcy wrócili napowrót do swoich krajów, zaczem także Ojca św. natychmiast wypuszczono na wolność. Rzymianie przyjęli z wielkim zapałem świątobliwego Starca, który wolny i niezależny mógł ująć na nowo w swe ręce kierownictwo Kościoła. Wybawiony w iście cudowny sposób Papież Pius VII postanowił złożyć publiczne dziękczynienie Tej, za której wstawieniem on sam, a z nim cały świat chrześcijański,

uznawał otrzymanie niespodziewanej wolności. W towarzystwie kilku kardynałów udał się do *Savony* i ukoronował tam cudowny obraz Matki Boskiej Miłosierdzia, łaskami słynący, wśród zbiegowiska niezliczonego ludu, w obecności króla sardyńskiego, Wiktora Emanuela I, i innych książąt. Powróciwszy do Rzymu wypełnił drugą część danej obietnicy, *ustanawiając dla całego Kościoła osobne święto, mające o tym cudzie świadczyć wszystkim przyszłym pokoleniom.*



Pomny, iż po wszystkie czasy Najświętszą Pannę nazywano **Wspomożeniem Wiernych**; opierając się na przykładzie, danym przez Piusa V, który po zwycięstwie chrześcijan pod *Lepanto* polecił był dodać do litanii loretańskiej wezwanie: *Wspomożenie Wiernych, módl się za nami*; pragnąc dalej na cały Kościół rozpowszechnić, co był postanowił Papież Inocenty XI, gdy po pogromie Turków w roku 1683 pod *Wiedniem* ustanowił święto **Imienia Maryi** i zatwierdził *arcybractwo Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*, zawiązane w *Monachium*, Pius VII, by cudowne swoje i kardynałów uwolnienie, jako też odzyskaną wolność Kościoła utrwalić w pamięci potomnych jako wiecznotrwały pomnik dla wszystkich ludów chrześcijańskich, ustanowił święto **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**, mające się obchodzić corocznie w dniu **24 maja**. Wybrano ten dzień, ponieważ po swem wypuszczeniu na wolność właśnie tego dnia 1814 roku, wśród okrzyków wiernych poddanych, wjechał tryumfalnie do Rzymu. Święto to po raz pierwszy obchodzone było z wielką uroczystością dnia 24 maja 1815 r., to jest właśnie w tym roku, w którym urodził się X. Jan Bosko, wielki czciciel Najśw. Panny Wspomożycielki i krzewiciel nabożeństwa pod tymże wezwaniem.

(Dokończenie nastąpi).

O Salezyanach.

REFERAT
X. BRONISŁAWA MARKIEWICZA,
czytany dnia 6go lipca 1893 roku
na wiecu katolickim
w Krakowie.

(Dokończenie).

III. A potem, czyż mamy ojców i matki tych dzieci opuszczonych pozostawić losowi i puścić ich samopas, aby brnęli dalej na drodze występków, wybryków i spisków przeciw Bogu i ludziom? Starszym tedy, a osobliwie pochodzącym z warstwy ubogiej, odprawiają Salezyanie nabożeństwa trzy, siedmio i dziewięciodniowe z kazaniami, prawią im nauki codzienne we wielkim poście, w miesiącu maju i czerwcu, rekolekcye i misye, na wzór innych zakonów czynnych. Przecież tego rodzaju praktyk nie mamy za wiele? Na polu tem pozostaje jeszcze ogrom pracy do spełnienia; jest tam tedy miejsce i dla Salezyanów.

Nadto Siostry Salezyanki mają pomiędzy innymi obowiązkami swymi, jeszcze i prawo zajmowania się szpitalami dla chorych.

IV. Złe szerzy się w tych czasach niezmiernie szybko i gwałtownie, przez złe pisma, dzienniki i książki. Niestety złego jest więcej aniżeli dobrego. Złym książkom i pismom należy przeciwstawić prasę dobrą. Dla tego Salezyanie mają własne drukarnie, księgarnie, a nawet własną papiernię. Salezyanie piszą i drukują nietylko dziełka popularne dla ludu, ale także i dzieła naukowe, a osobliwie pomocnicze do szkół; jednem słowem: wszystko, cokolwiek może mieć związek z prawdą, ze rzetelną nauką, z oświatą prawdziwą i z wiarą katolicką. Wydawnictwo Salezyańskie liczy nietylko kilka pism peryodycznych, ale setki tomów dzieł, napisanych w językach starożytnych i nowożytnych, i setki utworów z dziedziny muzyki. Buletyn miesięczny wychodzący w Turynie, drukuje się w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim i angielskim (obecnie także niemieckim i polskim).

V. Powiada św. Dyonizy: „*Pomiędzy sprawami Bożemi sprawą przedewszystkiem świętą jest: pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.*“ A właśnie największymi pomocnikami Bożymi w sprawie zbawienia ludzi są kapłani i zakonnicy. Zadaniem tedy Salezyanów jest także pielęgnowanie powołań duchownych. Żniwo duchowne na świecie było wielkie, a robotników mało już za czasów Pana Jezusa. Tak jest i dzisiaj. Brak kapłanów i powołań duchownych, czuć się daje wszędzie. Za brakiem kapłanów i zakonników idzie brak znajomości i stosowania zasad religijnych, a następnie rozprężenie obyczajów i spoganienie społeczeństwa.

Pamiętajmy wszakże, że powołań duchownych nigdy nie może być za wiele, gdyż Bóg sam je daje. Mówi bowiem Pan Jezus do Apostołów: „ *Nie wyście mnie obrali, ale jam was obrał.*“ Bóg tedy daje tych powołań ile potrzeba, atoli wiele ich ginie przeważnie przez złe szkoły i nieodpowiednie wychowanie rodzicielskie. A twierdzą Doktorowie Kościoła i mistrze życia duchownego, iż nie wiele potrzeba, aby powołanie duchowne stracić lub zwichnąć; wystarcza nieraz chwila jedna, jedna wycieczka dzienna, jedno słowo z ust przyjaciela, namiętność nienależycie powściągana, przywiązanie zbytnie do jakiej osoby i t. p. Dla tego Duch św. przez usta Ojców Soboru Trydenckiego domaga się od Biskupów, aby młodzież, mającą powołanie duchowne, wychowywano osobno, zacząwszy od wieku młodocianego t. j. od lat 12. Stąd wszystkie zakłady Salezyanów są małemi seminaryami, w których się śledzi i pielęgnuje powołania do stanu duchownego. Nieraz szewczyk i krawczyk nawet przechodzi do oddziału, w którym się wykładają przedmioty objęte planem dla szkół średnich, i po niejakim czasie wdziewa sutannę księżą. Również z tego powodu podejmują się Salezyanie, za osobnem upoważnieniem Stolicy Apostolskiej, kierownictwa seminaryów kleryków świeckich, seminaryów małych i wielkich.

VI. Wreszcie zadaniem Salezyanów są **misye zagraniczne.** Jest to dzieło u nas prawie zapomniane, a jednak dzieło najwznioślejsze i najgłębiej wchodzące w sprawę socyalną. Dzisiejszy militaryzm, a następnie zubożenie, ucisk i tępienie barbarzyńskie narodów, pochodzą głównie stąd, iż mamy obok nas ludy żyjące w błędach religii kacerskiej i schizmatyckiej. Nawrócić ich tedy do prawdziwej religii, a ustaną ich barbarzyńskie prawa i obyczaje i groza wiszącej nieustannie wojny. Zmiana formy rządu nic tu nie pomoże, nawet porażka na polu bitew nie odwróci na długo niebezpieczeństwa, grożącego ze strony tych nieszczęśliwych narodów. Tutaj mogą rzecz zmienić na lepsze tylko mężowie apostolscy, gotowi każdej chwili na męczeństwo. Tutaj 10 Ksawerych więcej sprawi, aniżeli 10 milionów wojska.

Nietylko przykazanie miłości, ale i interes doczesny zniewala nas do gorliwego popierania misyi zagranicznych. Pozwolę sobie zwrócić uwagę Szanownego Zebrania na jedną okoliczność. Od kilku lat instruktorowie pruscy uczą militaryzmu swego Chińczyków, naród liczący się na setki milionów. Co z tego siewu będzie za lat kilkadziesiąt, jeśli nie zrównoważą tego brutalnego wpływu liczni instruktorowie wiary świętej? Przecież Chiny same gotowe dostarczyć kiedyś onych 200 milionów wojska, które wedle przepowiedni św. Jana Ewangielisty zalać ma świat cały. Od naszych usiłowań zależy, odwlec to nieszczęście jak najdalej. Tutaj potrzeba działania zbiorowego, aby osiągnąć skutki znaczniejsze. Narody katolickie,ześrodkowane na wiecach, powinny podjąć akcyę wspólną; powinny uchwalić, wspierać usilnie te zgromadzenia zakonne, które trudnią się misyami zagranicznemi.

Salezyanie przejęci ważnością tej wielkiej sprawy, lubo istniejący jako Zgromadzenie zakonne dopiero od lat 19, wysyłają jednak już od lat kilku ze samych Włoch rocznie około 50 misyonarzy, a z Francyi po kilku, i tym sposobem założyli w tak krótkim czasie 60 domów w Ameryce, 3 w Palestynie, jeden w Oranie w Afryce, a sposobią się do wypraw do Japonii, Indyi, Chin i do innych krajów, zamieszkałych przez niewiernych. To samo mogą i powinni podjąć na naszej ziemi. Aby to rychło nastąpiło, zależy od narodu naszego, a względnie od Szanownego Zebrania. Kadry już są: około 200 młodzieży naszej we Włoszech i 10 aspirantów w Miejscu. Wszyscy ci wychowują się w duchu Ksawerego, Boboli i pierwszych Apostołów, w bojaźni Bożej, w pracy i w niewygodach, i uczą się nietylko przedmiotów, wykładanych w naszych szkołach średnich i w zakładach teologicznych, ale jeszcze rolnictwa i rzemiosła, aby w razie potrzeby mogli, jako święty Paweł, wielki Apostół, zarobić sobie na własne życie.

Naród nasz miał przed laty po miastach i miasteczkach seciny kapłanów i zakonników, których pienia nabożne brzmiały w dzień i w nocy, a zaraz opodal niego leżały narody w grubych błędach kacerstwa, schizmy, zabobonów i pogaństwa. Trzy razy tylko dał nasz naród poznać, iż zrozumiał swoje chrze-

ścijańskie posłannictwo: za czasów Jacka, Jagiełły i Boboli. Później stał się podobnym do onego bogacza, który mając śpichlerze pełne zboża, pozwala ginąć od głodu pod oknami domu swego zgłodniałym ubogim. Ta nieużytość serca skarana jest przez Opatrzność; — grzech sam się karze — te ludy, które naród nasz opuścił i zaniedbał przez naganną opieszałość swoją, rzuciły się na nas i nas ujarzmiły. I dzisiaj słowem i przykładem zmuszeni jesteśmy głosić im słowo Boże. Niema większego miasta wśród nich, aby tam nie było ziomków i kapłanów naszych. Przyznaje uczony konwertyta, O. Martinow T. J., że Polacy po rozbiorze ojczyzny swojej więcej zdziałali dla dobra duchowego ciemięzców swoich, aniżeli przez wszystkie wieki poprzednie, razem wziąwszy. Ma się rozumieć — przymusowo. Jest to świadectwo niepodejrzane i bardzo poważne. Znajmy się więc do naszego obowiązku i przystąpmy dobrowolnie do tej świętej pracy. Na tem polu zwyciężymy niechybnie; wepchniemy miliony naszych ciemięzców doczesnych do nieba, zbawimy siebie wiecznie, a w dodatku otrzymamy swobodę doczesną, albowiem musi się sprawdzić co powiedział Zbawiciel: „*Szukajcie królestwa Bożego, a reszta wam będzie przydana.*"

VII. A teraz nasuwa się pytanie, skąd i jak wziąć środki na podjęcie tak wielkich dzieł? — Sławnej pamięci Pius IX, zatwierdzając Zgromadzenie Salezyanów, ustanowił obok niego osobne bractwo tak zwanych **Pomocników salezyańskich**, któremu nadał te same odpusty, jakie mają Tercyarze św. Franciszka z Asyżu. Do dostąpienia zaś tychże położył jako warunek główny, wspieranie dzieł salezyańskich. Oto pierwszorzędne źródło na utrzymanie zakładów, kościołów i misyi zagranicznych, zostających pod kierunkiem Salezyanów. We Włoszech istnieje obecnie około 100 tysięcy Pomocników salezyańskich. Za ich to pomocą wzniosło się na włoskiej ziemi kilkanaście kościołów, kilkadziesiąt zakładów i kaplic, w których pracują Salezyanie. Za ich przeważnie pieniądze wychodzi corocznie 50 misyonarzy salezyańskich do obcych krajów i tam się utrzymuje. Zwyczajnie *Pomocnicy i Pomocnice salezyańskie* składają przynajmniej 4 franki rocznie na cele wspomnione.

W ten sposób zbierać się będą także środki i w naszej ziemi na podjęcie dzieł podobnych. Dyplomów na Pomocników salezyańskich można dostać w *Turynie*, w Oratoryum św. Franciszka Salezego (via Cottolengo, 32).



PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział I.

Jan Bosko kapłanem. — X. Dr. Alojzy Guala. — Konwikt duchowny przy kościele *św. Franciszka z Asyżu.* — Trzy świeczniki duchowieństwa turyńskiego. — Więzienia. — Myśl o arce ocalenia.

Dnia 5 czerwca 1841 r. pewien młody lewita, który co dopiero ukończył był chlubnie studya teologiczne w seminaryum w *Chieri*, otrzymał święcenia kapłańskie z rąk Najprzew. X. Alojzego Fransoni, arcybiskupa turyńskiego. Był nim nasz Jan Bosko, liczący wtedy niespełna lat 26.

Nowo wyświęconemu kapłanowi dawano do wyboru trzy posady: jako kapelana i nauczyciela domowego u pewnego bogatego pana z *Genui*, z pensyą 1000 franków rocznie; jako kapelana we wiosce rodzinnej *Murialdo*, przyczem miały być powiększone dochody, które do tej posady były przywiązane dotychczas; lub też jako wikarego w *Castelnuovo d' Asti.* Zanim X. Bosko powziął w tej mierze ostateczne postanowienie, udał się wpierw do *Turynu*, ażeby się poradzić X. Józefa Caffasso, z tej samej co on pochodzącego okolicy, a który od kilku już lat był jego kierownikiem duchownym.

Pobożny ten kapłan, natenczas sprawujący urząd dyrektora konferencyi moralnych w konwikcie duchownym przy kościele **św. Franciszka z Asyżu**, wysłuchał z uwagą wszystkiego, co mu X. Bosko opowiedział, tak co się tyczyło ofiarowania wcale dobrze płatnych posad, jak również o naleganiach krewnych i przyjaciół, następnie mu oświadczył: „*Potrzeba ci się jeszcze gruntowniej zapoznać z teologią moralną i kaznodziejstwem. Odmów zatem jak na teraz wszelkim propozycyom i przyjdź do konwiktu.*" X. Bosko bez wahania poszedł za światłą radą swego ojca duchownego i dnia 3 listopada 1841 r. wstąpił do poleconego sobie zakładu.

Czytelnikom moim bez wątpienia miłą będzie krótka wiadomość o powyższym konwikcie, gdzie nasz Założyciel i Ojciec powziął niebawem i z pomocą Bożą uskutecznił myśl założenia **Oratoryum**.

Na początku tego stulecia żył w *Turynie* pewien czcigodny kapłan, nazwiskiem X. Dr. Alojzy GUALA, proboszcz kościoła św. Franciszka z Asyżu. Był to człowiek nieskalanych obyczajów, odznaczający się prawdziwą pobożnością, a że przytem był bezinteresowny, uczony, roztropny i śmiały, umiał sobie zjednać przychylność dobrych, a szacunek nawet u złych. Pobożny i światły ten kapłan, który znał doskonale potrzeby swoich czasów, przyszedł do przekonania, że jest rzeczą nadzwyczaj pożądaną, ażeby młodzi księża po ukończeniu studyów w seminaryum, poświęcili pewien czas na gruntowne obeznanie się z teologią moralną praktyczną (u nas zwykle zwaną *pastoralną*), wprzód zanim jeszcze rozpoczną wzniosły swój zawód duszpasterski.

Głęboko o tem przeświadczony, uczony ten mąż rozpoczął już był w r. 1808 zaprawiać kilku świeżo wyświęconych młodych kapłanów w swoim własnym domu, a to za pomocą umyślnie w tym celu urządzanych konferencyi. To ciągło się tak aż do r. 1818, w którym po upadku rządów NAPOLEONA I w **Piemoncie** i po opuszczeniu przez żołnierzy klasztoru pofranciszkańskiego, przytykającego do wyż wymienionego kościoła św. Franciszka, X. Guala otworzył w nim osobny konwikt dla nowo wyświęconych kapłanów, stósownie go wpierw urządziwszy. Król sardyński, KAROL FELIX, upoważnił go w r. 1822 do przyjmowania ofiar i zapisów na rzecz nowego zakładu i przeznaczył mu na mieszkanie część jeszcze niesprzedaną zniesionego klasztoru. Zwierzchność duchowna przyszła również z pomocą zbożnemu przedsięwzięciu, a Najprzew. X. Kolumban CHIAVEROTTI, arcybiskup turyński, dekretem z dnia 24 czerwca 1823 r. zamianował X. Dr. Gualę rektorem konwiktu i potwierdził regulamin dla konwiktorów przez tegoż ułożony. Rozmyślanie, czytanie duchowne, dwie konferencye codziennie, teorya wymowy kościelnej, wszelkie ułatwienia odnośnie do nauk potrzebnych kapłanowi, czytanie i radzenie się dobrych autorów, — to były zwykłe zajęcia umieszczonych w konwikcie młodych księży i wynikające stąd korzyści.

Niepodobieństwem jest obliczyć dobrodziejstwo, jakie X. Guala wszystkim dyecezyom piemonckim, a szczególnie archidyecezyi turyńskiej, zakładem swoim wyświadczył. Przedewszystkiem udało mu się wyrwać ostatnie korzenie *jansenizmu*, jakie tam jeszcze były pozostały, — owej nieszczęsnej sekty, co przez samowolną i potępienia godną surowość ubezwładnia dusze w dążeniu do zbawienia wiecznego, oddala je od żywych źródeł boskiego Odkupienia i niedopuszcza do należytego z nich korzystania. Roztrząsano prócz tego właśnie wówczas pomiędzy teologami w sposób nader gwałtowny kwestyę tak zwanego *probabilizmu* i *probabilioryzmu*. Zwolennicy pierwszego szli za nauką św. **Alfonsa de Liguori**, którego dzieła zyskały pochwałę Kościoła św. i były ogłoszone jako wolne od wszelkiej cenzury,; poplecznicy drugiego trzymali się natomiast kilku surowszych autorów teologii moralnej, których opinie zastósowane w duszpasterstwie, jeżeli nie były miarkowane roztropnością, łatwo mogły doprowadzić do rygoryzmu, przeciwnego zdrowemu rozsądkowi i bardzo dla dusz szkodliwego.

Otóż X. Dr. Guala przez swój nowy zakład zamierzył właśnie ten spór uśmierzyć, a w dziedzinie teologii moralnej za podstawę wszelkich opinii kładąc miłość i łagodność Pana Naszego Jezusa Chrystusa, doprowadził istotnie z czasem do tego, że walk na powyższy temat po większej części całkiem zaniechano, jak również, że po seminaryach duchownych za mistrza teologii moralnej obrano **św. Alfonsa**, z wielką korzyścią dla wiernych, a niemniejszym spokojem sumienia dla kapłanów.

Wielką pomocą X. Guali w przyprowadzeniu do skutku tego dzieła był X. Józef CAFFASSO, jego zastępca w konferencyach moralnych, który po nim objął później i katedrę i urząd. Przez swoją cnotę, wykluczającą wszelką wątpliwość, swój niczem nieporuszony spokój duszy i podziwienia godną roztropność i bystrość, przez swoją nadzwyczajną pobożność, zarówno wyrozumiałą w postępowaniu wobec drugich, jak skupioną w samej sobie, potrafił stłumić do reszty gorycz, jaka jeszcze trawiła *probabiliorystów* przeciw *ligorystom*, i przyczynił się niepomiernie do wychowania i wyrobienia wykształconego i wzorowego duchowieństwa.

Prawdziwa kopalnia złota ukrywała się również w kapłanie turyńskim, X. Dr. Feliksie GOLZIO, który także był członkiem zarządu konwiktu. Żyjąc w ukryciu, nie szukał na zewnątrz rozgłosu, a jednak dla swej niezmordowanej pracowitości, rzetelnej pokory i głębokiej wiedzy, był niemałą pomocą księżom Guala i Caffasso, którzy go też wielce szanowali i miłowali.

Działalność wszakże duszpasterska tych trzech zacnych kapłanów nie ograniczała się jedynie na konwikt i przyległy temuż kościół, lecz sięgała o wiele dalej. Więzienia państwowe, szpitale i zakłady dobroczynności, chorzy po domach prywatnych, pałace możnych i chaty ubogich, pobliskie wsi i miasteczka, — wszystkie one doświadczały zbawiennych skutków chrześcijańskiej miłości bliźniego i gorliwości tych trzech świeczników turyńskiego kleru; nawet po ich śmierci zażywają dyecezye piemonckie jeszcze obecnie ich światła i ze wszech miar dobroczynnego wpływu, a to przez licznych uczniów, jakich po sobie byli zostawili. Między tymi wystarczy wspomnieć X. Dr. Jana Bertagna, obecnie biskupa tytularnego *Kafarnaum* i sufragana turyńskiego, w całym Piemoncie cenionego jako niezrównanego mistrza teologii moralnej.



Opiekunka zakładów X. Bosko.

Otóż to były (żeby wrócić do przedmiotu, od którego na chwilę odbiegliśmy) owe trzy wzory, na których kształtował się w początkach swego kapłańskiego zawodu nasz X. Jan Bosko. X. Caffasso był oprócz tego jego kierownikiem duchownym i X. Bosko często później wspominał z uczuciem głębokiej wdzięczności: « *Jeżeli w mojem życiu uczyniłem coś dobrego, to mam to do zawdzięczenia temu czcigodnemu kapłanowi, w którego ręce złożyłem wszystkie moje postanowienia, wszelkie starania i każdą czynność mego życia.* »

Pragnąc ucznia swego od razu zapoznać z ciężkiem, ale tyle szczytnem zadaniem duszpasterstwa, doświadczony ten mistrz życia duchownego zawiódł go przedewszystkiem do więzień turyńskich, które od dawna były ulubionem polem jego znojów apostolskich.

Na widok tłumu chłopców i młodzieży w wieku od 12 do 18 lat, którzy gnuśnie i toczeni od robactwa pokutowali tam w haniebnem zamknięciu i dręczeni wyrzutami sumienia za winy przedwczesnych występków, wzdrygnął się młody kapłan. Widział on w tych nieszczęśliwych uosobioną hańbę ojczyzny i sromotę rodzin; widział przedewszystkiem dusze, odkupione krwią Baranka Bożego, jęczące w niewoli występków i niechybnem niebezpieczeństwie pójścia na wieczne potępienie. Zauważył również niezadługo, że liczba tych nieszczęśliwych zamiast się zmniejszać, raczej z dnia na dzień wzrastała, i że ci sami, którzy po odbyciu naznaczonej kary wypuszczeni byli na wolność, wracali niebawem w to samo miejsce, obciążeni nowemi przestępstwami i z piętnem nowego wyroku sądowego.

Zastanawiając się głębiej nad przyczyną takiego upodlenia się tej nieszczęśliwej młodzieży, zdawało mu się odnajdować ją przeważnie w tem, że nie brała najmniejszego udziału w nabożeństwie w niedziele i święta. Przekonawszy się zaś o tem dokładniej, X. Bosko rozważał tak dalej sam w sobie: « *Gdyby ci chłopcy mieli byli około siebie kogoś takiego, coby się nimi zajmował w sposób przyjacielski i troskliwie się nimi opiekował; któryby zwłaszcza w dni świąteczne garnął ich do siebie i wykładał im zasady Wiary świętej, kto wie, czyby wtenczas nie byli się powstrzymali od złego i bądź całkiem uniknęli więzienia, bądź też do niego więcej nie powracali.... Czy nie byłoby wskazanem, zadanie to podjąć, i czy nie przysłużyłby się znakomicie nietylko sprawie religii, ale samemuż świeckiemu społeczeństwu ten, coby pierwszy odważył się zrobić w tej mierze próbę, która w przyszłości niewątpliwie przyniosłaby korzyść całym setkom i tysiącom dziatwy?.... Lecz w takim razie jakiego należy chwycić się środka? cóż będzie ową arką ocalenia dla tych nieszczęśliwych?* »...

Z temi myślami zwierzył się księdzu Caffasso i za jego radą i jego kierując się wskazówkami zaczął szukać sposobu, w jakiby zamiar swój najprędzej i najlepiej do

skutku mógł doprowadzić; wynik jednakże wszystkich swoich starań z całą ufnością zdając na Opatrzność Boską, bez której są daremne wszelkie wysiłki człowieka.

Rozdział II.

Święto *Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny*. — Pobicie chłopca przez zakrystyana. — Pierwszy uczeń, pierwsza nauka. — Dlaczego zebrania otrzymały nazwę *Oratoryum*.



RATORYUM św. **Franciszka Salezego** i wszystkie inne *kaplice świąteczne* i zakłady, które z niego wzięły początek, stanowią tyleż rodzin, złożonych z dziatwy i młodzieży. Żeby jednakże rodzina była dobrze prowadzoną, starannie wychowywaną i od niebezpieczeństw chronioną, do tego potrzebuje przedewszystkiem miłującej matki. Otóż tą Matką najmiłościwszą wszystkich tych zakładów i zarazem ich potężną Opiekunką miała być **Najśw. Marya Panna.** Że tak jest istotnie i że taką była wola Pana Boga, na to mógłbym tu niesłychaną ilość faktów przytoczyć jako dowód; o tem jednakże gdzieindziej będzie mowa, tutaj zaś na razie dość będzie zaznaczyć, że *Oratoryum*, którego dzieje rozpocząłem kreślić, poczęło się właśnie w dniu, poświęconym najpiękniejszej chwale królowej niebieskiej.

Bolesny widok małoletnich przestępców, do więzienia wtrąconych, i tylu innych chłopców, idących drogą hańby i zepsucia, nie dawał księdzu Bosko spokoju i utwierdzał go wciąż w powziętym zamiarze, oddania się wyłącznie na usługi niedoświadczonej a prawie całkiem sobie samej pozostawionej młodzieży. Rozważywszy całą rzecz przed Panem Bogiem i poradziwszy się X. Caffasso, przemyśliwał już od kilku dni nad tem, jak i gdzie to dzieło rozpocząć, gdy oto niespodziewane zdarzenie wprowadziło go od razu na właściwą drogę.

Dnia 8 grudnia 1841 r. w święto **Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny** X. Bosko o zwykłej godzinie ubierał się właśnie w zakrystyi kościoła św. Franciszka z Asyżu do Mszy świętej. Zakrystyan, człowiek nieco opryskliwy, spostrzegłszy jakiegoś chłopca w kącie stojącego, wezwał go, żeby do niej służył.

— „Nie umiem,” odpowiedział zawstydzony chłopczyna.

— „Słyszysz?” wołał tamten, „przyjdziesz mi zaraz służyć księdzu do mszy?!”

— „Nie umiem,” odpowiedział jeszcze raz chłopiec, „nigdy jeszcze nie służyłem do mszy.”

— „Nicponiu jakiś,” wrzasnął rozgniewany zakrystyan, „jeżeli nie umiesz służyć do mszy, czemuż tedy przychodzisz zawadzać w zakrystyi?!” I zanim tamten się spostrzegł, chwycił za trzepaczkę, którą miał pod ręką, i sypnął nią kilka silnych razów po plecach biedaka, który widząc, że to nie przelewki, puścił się czem prędzej w nogi, chroniąc się w miejsce bezpieczne.

Widząc to X. Bosko zawołał na zakrystyana: „Co robisz? dla czego okładasz tego chłopca tak niemiłosiernie? Cóż on ci zrobił?”

— „A po cóż przychodzi do zakrystyi, jeżeli nie umie służyć do mszy?”

— „Bądź co bądź, postąpiłeś sobie nie dobrze.”

— „A cóż to tak bardzo księdza dobrodzieja obchodzi?”

— „Obchodzi mnie owszem bardzo wiele: to mój dobry znajomy. Zawołaj mi go natychmiast, gdyż chciałbym z nim pomówić.”

Otrzymawszy ten rozkaz zaczął zakrystyan wołać na chłopca: *tuder! tuder!* *) i idąc za nim, już bez trzepaczki, i zapewniając go, że nic mu się złego nie stanie, przyprowadził go do X. Bosko.

Biedaczysko zbliżył się drżąc na całem ciele i płacząc z powodu otrzymanych razów.

— „Czy byłeś już na Mszy świętej?” zapytał go łagodnie X. Bosko.

— „Nie,” odpowiedział chłopiec.

— „Chódź jej więc wysłuchać; potem pomówię z tobą o czemś, co ci wielką sprawi przyjemność.”

Zamiarem X. Bosko było tylko pocieszyć biednego chłopca, zatrzeć niedobre wrażenie, jakie w nim powstać musiało, i odjąć żal, jakiby bez wątpienia miał do osób z kościołem do czynienia mających; lecz o wiele wyższe były zamiary Pana Boga, który w dniu tym miał założyć podwaliny do wielkiej przyszłej budowy.

Odprawiwszy Mszę św. i złożywszy należne za to Panu Bogu dziękczynienie, X. Bosko przywołał do siebie chłopca, zaprowadził go na łączący się z kościołem chórek i z łagodnym wyrazem twarzy, oraz zapewniwszy go, że już więcej nie otrzyma bicia, wdał się z nim w następującą rozmowę:

— „Mój drogi, jakże się nazywasz?”

— „Nazywam się Bartłomiej Garelli.”

— „Skąd pochodzisz?”

— „Z Asti.”

---

*) *Tuder*, wyraz pogardliwy i żartobliwy zarazem, oznacza w narzeczu piemonckiem = *chodźno tu, głuptasiu*, albo *fujaro* lub t. p.

— „ Czy twój ojciec żyje jeszcze? ”
— „ Nie; umarł. ”
— „ A matka?”
— „ Również umarła.”
— „ Ile masz lat?”
— „ Szesnaście.”
— „ Umiesz czytać i pisać?”
— „ Nie umiem.”
— „ Czyś przystąpił już do pierwszej komunii św.? ”
— „ Nie jeszcze.”
— „ Spowiadałeś się już? ”
— „ Tak, ale byłem wtenczas jeszcze małym. ”
— „ Czy chodzisz na naukę katechizmu? ”
— „ Nie śmiem.”
— „ A to dlaczego? ”
— „ Bo towarzysze moi, choć tacy mali, umieją już mały katechizm, a ja, chociaż już jestem taki duży, nie umiem jeszcze nic; dlatego wstydzę się chodzić razem z nimi. ”
— „ A gdybym ja cię osobno uczył katechizmu, czy przychodziłbyś na naukę? ”
— „ Przychodziłbym bardzo chętnie.”



Zakrystyan i młody Bartolomeo Garelli.

— „ Czy przychodziłbyś także na ten tu chórek? ”
— „ Owszem, byleby mnie tylko nie bili.”
— „ Bądź spokojnym, nikt się z tobą nie będzie źle obchodził, jakem cię o tem już raz zapewnił; przeciwnie, odtąd będziesz moim przyjacielem i będziesz miał do czynienia tylko ze mną, a z nikim innym. Kiedyż więc chcesz, żebyśmy naukę rozpoczęli?”
— „ Kiedy się księdzu dobrodziejowi będzie podobało.”
— „ Dziś po południu? ”
— „ Dobrze.”
— „ A możeby teraz zaraz? ”
— „Owszem, bardzo chętnie i zaraz teraz.”

X. Bosko na początek zrobił znak krzyża św., lecz uczeń go nie powtórzył, nie wiedział bowiem, jak się do tego wziąć, i nie umiał słów towarzyszących robieniu tego znaku; pierwszą więc naukę rozpoczął mistrz od nauczenia chłopca znaku krzyża świętego, poczem opowiedział mu o Bogu Wszechmogącym Stwórcy i celu, dla którego nas stworzył. Po upływie mniej więcej półgodziny puścił go do domu, kazawszy sobie wprzódy przyrzec, że powróci w następną niedzielę.

Chociaż chłopiec miał pamięć dosyć tępą, to jednak mimo to przez swą pilność i uwagę potrafił w kilka niedziel i świąt nauczyć się najważniejszych zasad wiary i najgłówniejszych prawd religijnych, tak iż niezadługo mógł dobrze odprawić spowiedź i przystąpić wkrótce potem do komunii św.

Do tego młodego wychowanka, którego można nazwać kamieniem węgielnym **Oratoryum**, przyłączyli się niebawem jeszcze inni; owej zimy jednakże X. Bosko ograniczył swoją opiekę tylko do kilku wyrostków, którzy dlatego iż byli oddaleni od domu rodzicielskiego i do czasu tylko przebywali w Turynie, więcej niż inni potrzebowali osobnego wykładu katechizmu. Niektórzy z nich pochodzili z okolic *Bielli* i *Medyolanu*, szczególnie murarze.

Taki był początek naszego **Oratoryum**

które za widocznem błogosławieństwem Bożem i pod Opieką Niepokalanej Dziewicy obecnie tak się rozrosło, jak sobie tego nikt nie wyobrażał.

Zebrania świąteczne, rozpoczęte przez X. Bosko w wyżej podany sposób, obejmują dwa działy: pierwszy religijny, polegający na nauce katechizmu i różnych praktyk religijnych, drugi zaś świecki, do którego należą stósowne gry i zabawy najrozmaitszego rodzaju, a nadto śpiew, muzyka i t. d.

Jeżeliby się miało na uwadze tylko *drugi* z tych dwóch działów, możnaby zebrania te śmiało nazwać *ogródkami rekreacyjnymi*, X. Bosko jednakże wolał je nazwać *domami modlitwy*, czyli **Oratoryami** (tem samem większy nacisk kładąc na dział *pierwszy*), a to dla głównej rzeczy, jaką niezawodnie jest uczęszczanie do kościoła, przystępowanie do Sakramentów świętych i odmawianie wspólnych modlitw.

Wiara św. i życie odpowiednie do jej zasad, pełnienie cnót, moralne wychowanie a stąd zbawienie duszy, — jest ich celem; zabawa, szkoła, śpiew, muzyka i t. p. są tylko środkami.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Bahia Blanca, dnia 26 listopada 1896.

SZANOWNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

Zwłoka w odpowiedzi na ostatnie dwa Jego listy zaszła z tego powodu, że w ostatnich dniach byłem nadzwyczaj zajętym przysposabianiem mych malców do egzaminu, który dla pozyskania, a raczej utrzymania względów tak rządu jako i ludności, odbywa się nader uroczyście wobec reprezentacyi rządowej i mieszczańskiej. Dla tej przyczyny zniewolony byłem korzystać, ile tylko się dało, z resztek czasu, którego i tak tego roku dużo straciłem z powodu mej choroby. Obecnie nie mogę powiedzieć, żebym był zupełnie zdrów; — dziwię się samemu sobie, gdyż pierwsze dwa lata byłem zawsze czerstwy i silny, dzisiaj zaś, prawdę powiedziawszy, zgubiłem prawie połowę siebie samego.

Czy potrafię odnaleść zgubione części, któż to może przewidzieć? Nie chodzi mi zresztą o stracone cielsko, lecz o czerstwość i siły, które niestety razem z niem się ulotniły a które są niezbędnemi do wypełnienia wziętych na siebie obowiązków.

Było zwyczajem w latach poprzednich kończyć rok szkolny w ostatnich dniach grudnia, co zawsze było nader uciążliwem, zwłaszcza tu w naszej siedzibie, gdzie właśnie w tych miesiącach dmą nieustannie prawdziwe uragany, unoszące nietylko lekki pył piasku, lecz nawet i drobne kamyczki; wichry te tamują oddech i mimowolnie wyciskają łzy z oczu; do tego dodać jeszcze trzeba gorąco niesłychane, które już dzisiaj dochodzi do 40 stopni Réaumura, a cóż dopiero będzie w grudniu i styczniu?

Bieżącego roku zakończyliśmy rok szkolny o cały miesiąc wcześniej, a to dla stosunków bardzo a bardzo naprężonych pomiędzy nami a tutejszymi masonami. Tym ostatnim dawno już jesteśmy solą w oku.

Wiedzieć trzeba, że włoska masonerya wszelkich zawsze dokłada sił, by w nowo tworzących się w Argentynie miasteczkach i koloniach przedewszystkiem wystawić lożę masońską, a wtenczas pociąga całą ludność do brania udziału w różnych zebraniach i posiedzeniach, na których naturalnie sofistycznemi rozprawkami starają się wykorzenić ze serc swych słuchaczy wszelkie uczucia religijne, wszczepiając natomiast nienawiść do Kościoła i kleru.

W skład tutejszego magistratu wchodzą sami masoni i to zapalczywi do tego stopnia, że nawet biskupowi dyecezalnemu nie chcieli dać posłuchania, gdy tu przybył na początku bieżącego roku (1896) w zamiarze wyjednania u magistratu pozwolenia (i li tylko pozwolenia) na budowę kościoła, czego nam wprost zabroniono, pewno nie z innego powodu, jak tylko dlatego, że kościół robiłby bardzo niepożądaną konkurencyą ich masońskiej loży. Lecz (jak to mówią) *nie masz tego złego, coby na dobre nie wyszło*, tak i owo nieprzychylne usposobienie i prawie wzgarda, okazana X. biskupowi, wyszła nam pod pewnym względem na korzyść, gdyż tenże mając sposobność poznać owych ptaszków z *Bahia Blanca*, z drugiej zaś strony posiadając wielkie wpływy u prezydenta rzeczypospolitej Argentyny, przeszkodził im w doprowadzeniu do skutku niecnych względem nas zamiarów.

Tutejsi masoni w swych sprawozdaniach, przesyłanych swoim «braciom.·.» do głównego

miasta *Buenos Ayres*, skarzyli się nieraz gorzko, że my Salezyanie krzyżujemy im szyki, zaczem uradzono wypłoszyć nas wrzaskami i groźbami, a gdyby to nie skutkowało, to przemocą wyrzucić z *Bahia Blanca*.

Wyznaczono na to dzień 24 września, lecz i my, dowiedziawszy się o spisku, nie zaspaliśmy gruszek w popiele. Ksiądz dyrektor uwiadomił o zamierzonym zamachu żandarmeryę okolicznych kolonii, która będąc zobowiązaną spieszyć zawsze z pomocą, gdziekolwiek ją zawezwą, stawiła się w sporej liczbie na dzień oznaczony.

Roztropność radziła nam wynieść się w on dzień raniuteńko w pole, zostawiwszy dom nasz pod opieką żandarmeryi. Około godziny 10 z rana, tłuszcza, prowadzona przez masonów, zebrała się przed naszym domem, by nas zaatakować: była to mieszanina z Indyan i *gauczów* (pastuchów i t. p. z pustynnych *Pampa*), wytresowana znakomicie przez hersztów tutejszych «trójpunktowych braci», przeważnie Włochów. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy zamiast nas, znaleźli małą wprawdzie garstkę w porównaniu z nimi, lecz za to dobrze uzbrojonych żandarmów. Na razie przypuszczali, że myśmy się poubierali w uniformy, lecz po dokładnem zbadaniu stanu rzeczy przekonali się, że to nie «*frailes*» (zakonnicy).

Zawiedzeni w swych planach i naciśnięci przez żandarmów musieli ustąpić, złorzecząc i grożąc pomstą. W następnych nocach czuwaliśmy całemi godzinami i dzięki tej przezorności uszliśmy kilka razy niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Wybierając się przed trzema laty na misye zabrałem był ze sobą z Europy także rewolwer, by mieć coś w ręku w razie nagłego jakiego niebezpieczeństwa przeciw dzikim zwierzętom lub t. p., lecz tenże już niejednokrotnie oddał mi usługę przeciw tym zagorzałym fanatykom. Myślę, że Pan Bóg mnie zachowa od tej ostateczności, bym miał na seryo użyć broni palnej przeciw ludziom, gdyż wolałbym być raczej zabitym, aniżeli dobrowolnie chcieć uszkodzić mego przeciwnika. Lecz jeżeli już sam połysk rewolwera albo odgłos jego wystrzału wystarczy do przeszkodzenia komukolwiek w popełnieniu zabójstwa, myślę, że wolno mi użyć tego wybiegu.

Widząc nasi przeciwnicy, że ich zamiary spełzły na niczem, udali się do rządu z wnioskiem o wydalenie nas z *Bahia Blanca*, nadmieniając, że całej tutejszej ludności jesteśmy antypatycznymi (niemiłymi) i że zbyt śmiałe i zuchwałe są nasze kazania.

Lecz i myśmy nie stali z założonemi rękami. Uwiadomiliśmy o wszystkiem wyżej wzmiankowanego X. arcybiskupa z *Buenos Ayres*, który będąc wielkim naszym dobrodziejem i znając już *Bahia Blanca*, wstawił się za nami do senatu, informując takowy, że *Bahia Blanca* posiada do 10,000 mieszkańców i tylko najwyżej 500 zapaleńców, których prawda w oczy kole, rozwściekliła się przeciw nam; że zaś przeszło 9000 jest z nas zadowolonych do tego stopnia, że swe dzieci powierzają nam na wychowanie. Co najgorsza, to że po stronie owych 500 hołoty stoi samże prześwietny magistrat miasta *Bahia Blanca*, a jakie ci ludzie odebrali wykształcenie i jakie mają wyobrażenie o najzwyklejszych i pospolitych rzeczach, wnosić można choćby z tego, że gdy przed trzema laty przybył tutaj pierwszy pociąg kolejowy, nie chcieli wierzyć, żeby lokomotywa poruszała się siłą pary, i zwykli byli mówić: *«non me lo pegan, ahi dentro tay caballos»* (mnie nikt nie oszuka: w środku tej maszyny muszą być konie). Z takimi to ludźmi mamy do czynienia.

Rozumie się, że rząd dał odkosza wnioskodawcom o wypędzenie nas z *Bahia Blanca*. Uraziło ich to do żywego i bądź co bądź postanowili się nas pozbyć. O tyle okazali się wspaniałomyślnymi tym razem, że wyznaczyli nam z góry dzień 28 listopada jako ostateczny termin dobrowolnego opuszczenia naszych zakładów; w przeciwnym razie grozili, że użyją przemocy.

Ponieważ władze wyższe, tak świeckie jak i duchowne, są nam przychylne, stąd co się nas osobiście tyczy, jesteśmy najzupełniej spokojni i nie wątpimy, że i rząd rzeczypospolitej argentyńskiej, który nader jest nam cudzoziemcom wdzięcznym za nasze poświęcenie się dla dobrej sprawy narodu i to jeszcze w miejscowości, dokąd nikt z duchowieństwa argentyńskiego nie chciał się był udać, postara się zabezpieczyć nas od wszelkiego wypadku.

Jak już wyżej wzmiankowałem, przyspieszyliśmy bieżącego roku o cały miesiąc egzamina roczne, a to dlatego, by na dzień 28 listopada rozpuścić dziatwę do domów.

Nasz X. Przełożony, na którego masoni tutejsi najwięcej mają chrapkę, udaje się dzisiaj do stolicy *Buenos Ayres*; my pozostali, wyniesiemy się w wigilią 28 listopada w pole, zostawiając dom nasz tak jak pierwszym razem na opiece najwłaściwszych stróżów. Będzie to dla nich niemałą niespodzianką, gdy zamiast nas znajdą po raz wtóry żandarmów. Tymczasem X. dyrektor

postara się w *Buenos Ayres*, by zakładom naszym w *Bahia Blanca* raz nareszcie zapewnić nieco spokoju. Mówię *«raz nareszcie»* gdyż w ciągu trzech lat, odkąd tu jestem, podobne sceny nieraz już były na porządku dziennym.

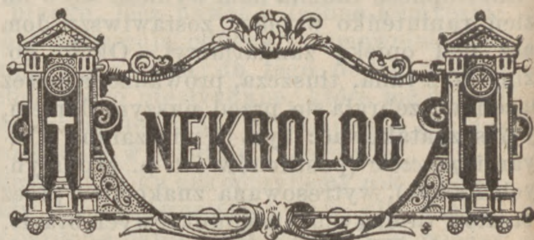
Raz spotkaliśmy się z dwoma napastnikami; myśmy byli zaopatrzeni w laseczki zwykłe do wyjścia, naturalnie dość smagłe. Widzieliśmy się naprzeciw rewolwerom: do odwrotu już nie było czasu, kula niezawodnie byłaby nas dosięgła. Cóż było robić? poleciliśmy się gorąco Panu Bogu i stanęliśmy gotowi do odparcia ataku. Dzięki jednakże Opatrzności Boskiej i przytomności umysłu i szczególnej zręczności jednego z naszych towarzyszy, wyszliśmy cało z tej przygody.

Takie to bywają nieraz przeprawy w tem naszem życiu misyonarskiem. Wiele pracy i mozołów, a mało, a czasami nawet zgoła nic wdzięczności i uznania. A jednak dla dobra naszej duszy lepiej, że tak jest. W ten sposób nie będzie do nas miało przystępu uczucie próżnego zadowolenia, a nawet pychy, o co nie trudno, gdy nam się powodzi dobrze i wszystko pomyślnie się składa. Trudności i przeciwieństwa, jakie wciąż napotykamy, zahartują nas tem bardziej i pokrzepią na duszy, niewdzięczność zaś ludzka i prześladowania sprawią, że serce nasze nie przylgnie do rzeczy doczesnych i do dzieł, nad któremi pracujemy, lecz że przeciwnie umysł nasz i dusza kierować się będą zawsze ku Niebu i nie od ludzi, lecz od Pana Boga oczekiwać za swe trudy zapłaty. Wtedy to trochę dobrego, co tu zdziałamy, nie będziemy przypisywać sobie, jakobyśmy *my* to dokonali własnym trudem i znojem, jakoby to było *nasze* dzieło, owoc i wynik *naszych* zabiegów i starań, lecz odniesiemy je do Tego, który jest źródłem i sprawcą wszystkiego dobrego na tej ziemi, bez którego błogosławieństwa nie moglibyśmy dokonać nic, a na którego większą chwałę pracować i cierpieć chcemy aż do ostatniego tchu naszego życia.

Wczoraj odebrałem liścik od naszych dwóch kleryków, *Ignacego Hlonda* i *Wojciecha Liberskiego*, uwiadamiający mnie o szczęśliwem ich przybyciu do *Buenos Ayres*. Życzyliby sobie widzieć się ze mną. Niestety! chwilowo jest to niemożliwem: przestrzeń 1000 kilometrów nas rozdziela.

Sprawa Brazylii jest, zdaje się, w zupełnem zawieszeniu; na razie przynajmniej niema wielkich widoków. X. biskup CAGLIERO już powrócił z wycieczki do Brazylii i znajduje się obecnie w *Buenos Ayres*. Ciekawym, czy dla mnie będzie miał jakie wiadomości; aż nadto bowiem jest poinformowany o moich chęciach udania się do rodaków w Brazylii.....

Kl. St. Cynalewski.



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Baitz, Antoni, — *Laryszów*, Górny Śląsk.
Cichoń X. proboszcz — *Tarnowskie Góry* "
Czech Wojciech, " "
Gawenda Sylwester — *Rokitnica*, " "
Golec Jadwiga, — *Królewska Huta* " "
Kafka Grzegórz, — *Chorzów*, " "
Kucharczyk Wiktor, — *Chorzów*, " "
Kupka Karolina, — *Miedary* " "
Maciejewski Stanisław — *Lubostroń*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Olejarczyk Kasper, — *Chorzów*, Górny Śląsk
Parusel Gertruda, — *Rybna*, " "
Przybylak Katarzyna, — *Piekary*, " "
Sosada Józef, " "
Sojka Marya, — *Kolonia Brzozowice*, "
(60 marek na Msze św. gregoryańskie).
Szawosz Rozalia, — *Laurahuta* " "
Żurek Józef " "



Pater, Ave, Requiem.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.